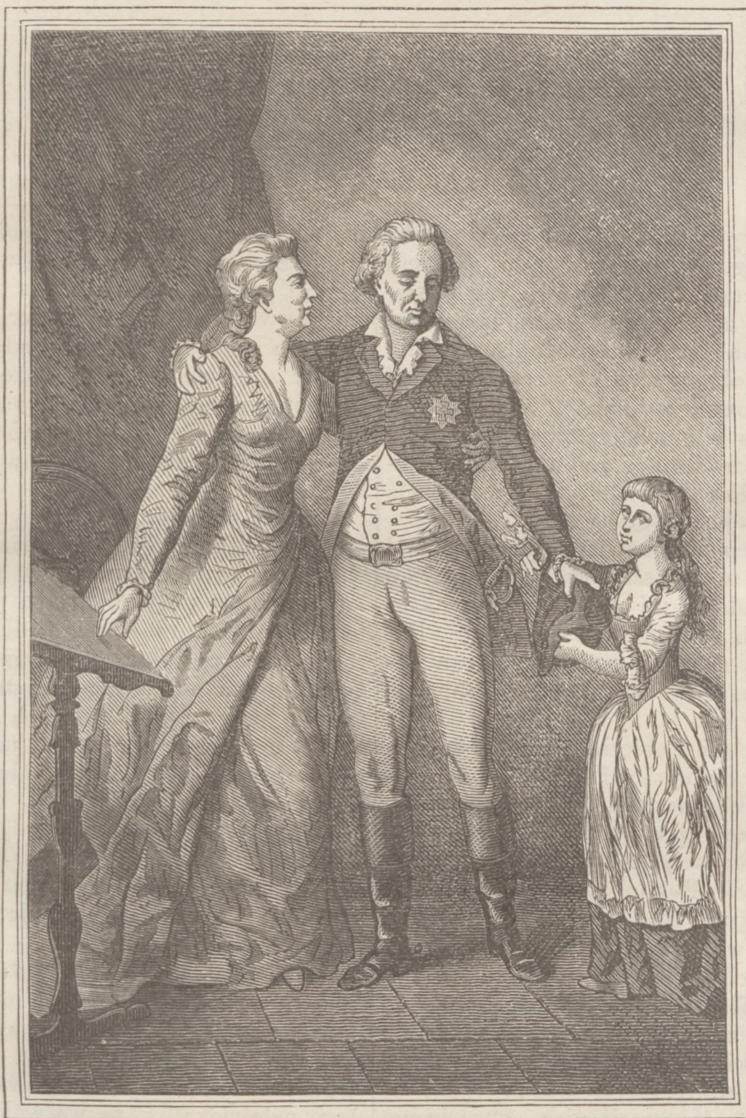
PORTRET FRANCISZKI KRASIŃSKIÉJ, JÉJ MĘŻA I CÓRKI.

Dajemy tu kopję portretu Franciszki Krasińskiéj, jéj męża królewicza saskiego i córki Marji, późniejszéj księżny de Carignan. Dwa takie portrety pędzla malarza Graaffa, wysłała królewiczowa z Drezna dla rodziny, jeden przeznaczony był do Opola, gdzie u ciotki swojéj ks. Lubomirskiéj jakiś czas przebywała; drugi dostała starościna Grzybowska, Zofja Wodzicka, młodsza jéj siostra. Pisząc do siostrzenicy swojéj Anieli ze Świdzińskich Szymanowskiéj, tak się o pierwszym z tych portretów wyraża: «Przyznam ci się kochana siostrzenico, że ów obraz zbrzydł mi, skoro jabłkiem niezgody między rodziną został; bo jabym chciała owszem do zgody między wami dopomagać. Ks. Alexander Lubomirski pierwszy napisał do mnie prosząc o niego; ponieważ ten obraz umyślnie do pałacu Opolskiego robiony, a Opole jego, przystałam chętnie na tę prośbę. Teraz Grzybowska domaga się go koniecznie..... Zagódź tę sprawę kochana Anielo; powiedz mojéj siostrze niech mi przyślę miarę, a ja jéj przez tego samego malarza Graaffa zrobić każę taki sam. Będzie nas miała wszystko troje, prawda kilkoma latami starszych, ależ ta sama ręka potrafi toż samo uchwycić podobieństwo.»



Portret Franciszki Krasińskiéj.
(Kopja z obrazu naturalnéj wielkości przechowanego w bibljotece Krasińskich).

Pierwszy tedy portret przeszedł od Lubomirskich do Krasińskich, zgromadzających skwapliwie pamiątki rodzinne i znajduje się obecnie w bibliotece pałacu hr. Ordynata Krasińskiego w Warszawie. Z niego to zdjęty jest nasz rysunek. Drugi portret wziął po ojcu, prezesie Wodzickim wnuk Zofji z Krasińskich, starościny grzybowskiéj, Franciszek hr. Wodzicki.

Portret ten naturalnéj wielkości, przedstawiający przywitanie królewicza wracającego z polowania przez żonę i córkę, jest nietylko rodzinną pamiątką, ale sądzimy, że interesuje nasz ogół przez dramatyczną historję osób jakie przedstawia, historję opisaną wdzięcznem piórem Hoffmanowéj, a każdy z nas niemal ją czytał i zajmował się nią z zapałem.

Córka królewiczowstwa Marja de Carignan księżna Sabaudzka, bardzo też jest zajmującą postacią, jako prababka panującego dzisiaj włoskiego króla Wiktora Emanuela. Wia-

domo, że oboje królewiczowstwo zmarli w krótkim czasie jedno po drugim. Franciszka umarła w 53-cim roku życia, niedoczekawszy się zamęścia jedynaczki, która dopiero w rok po śmierci rodziców poszła za mąż, poznawszy w Dreznie księcia Sabaudzkiego. Córka jéj poślubiła w 1820 r. brata cesarza austryjackiego arcy-księcia Rejnera, synem zaś jéj był Karol Emanuel ojciec Karola Alberta.

Chcąc złączyć ze wspomnieniami temi pamięć znakomitego wpływu autorki, któréj talentowi winniśmy *Dziennik Franciszki Krasińskiéj*, dajemy jéj wizerunek także z bibljoteki Krasińskich łaskawie nam udzielony, z czasów jéj młodszych, zapewne z tych właśnie kiedy ten zajmujący dziennik układała ([1]).

ZŁOTE JABŁKO.

(obrazek historyczny).

Na południowym stoku jednego łańcucha gór skalistych, gdzie szumią potoki a śniegi wieczyste na wierzchołkach bieleją, jest schludne choć ubogie miasteczko. Gromadka dzieci wyroiła się właśnie ze szkoły. Młodsze śmiały się i igrały wesoło, a między starszemi szedł jeden odosobniony, zadumany, właśnie bowiem uznano go w szkole za pierwszego nad wszystkich, za *primusa* i ambicja, ta namiętność szalona głów dojrzalszych już zaczęła zawracać młodą jego główkę.

— Być pierwszym, mówił sobie, być nad wszystkich, co to za szczęście! i mimowoli prawie odpowiadając téj myśli, szybkim krokiem wszystkich rówienników prześcigał. Patrzy, aż oto na zakręcie stoi jakaś stara kobieta, żebraczka, która za jałmużnę obiecuje wróżyć.

— Ha! wróż mi kobiecino, zawołał, podnosząc głowę z dumą i wiarą w siebie, powiedz mi czego się mam od losu spodziewać?.. I wyciągnął swą rękę jeszcze dziecięcą do staréj kobiety, która jęła się w dłoni rozpatrywać uważnie. Potem podniosła oczy na twarz jego i wpatrując się weń bystro, rzekła:

— Masz tu w téj ręce jabłko złote, tylko strzeż je, aby ci się nie wyśliznęło. Chłopczyk dłoń zacisnął i uśmiechnął się. Czyż to nie było jabłko złote, te zdolności jego umysłu i te uznanie jakiego od kolegów i nauczycieli odbierał dowody.

W 14 roku życia stracił ojca, poczciwego kupca korzennego, który gdyby był żył, byłby może utrzymał w granicach mierności jego ambitne dążenia; matka, chociaż równie skromnych usposobień, nie umiała swego wpływu utrzymać, oddała go w opiekę możnemu krewnemu, krzewicielowi oświecenia, który też pełnego zdolności umysłowych Piotra nad wyraz polubił. Piotr tedy wszedł na kursa uniwersytetskie tak młodo jak żaden inny przed nim, a pod kierunkiem wuja nabierał wprawy w językach starożytnych. Wszystko przychodziło mu z łatwością: filozofję, medycynę czy teologję, badał i pojmował wszystko.

Wuj jego miał stosunki z panami i w towarzystwie ich Piotr nabierał tego poloru jaki mu późniéj stał się bardzo potrzebny.

Raz zdarzyło się, że książe możny, wielki protektor nauk zajechał do jego wuja w gościnę. Piotr swojem wysłowieniem się, obejściem i wdzięczną postacią wpadł mu zaraz w oko.

— Czy to wasz syn, zapytał gospodarza.

— Bynajmniéj, odpowiedział tenże, straciłem mego syna jedynego, ale gdyby mnie cokolwiek bądź po jego stracie pocieszyć mogło to widok tego młodzieńca, dla którego czuję coraz większą miłość i szacunek. W całem życiu mojem nie widziałem studenta tak wytrwałéj pracy i tak bystrych zdolności zarazem. Ach gdyby mógł uczynić zadosyć swoim pragnieniom, pewny jestem, że stałby się zaszczytem kraju.

— A jakież są jego pragnienia, zapytał książe.

— Chciałby podróżować po obcych krajach, żeby tam nabyć więcéj wiadomości, a nie ma dosyć na to pieniędzy.

— Pieniędzy! zawołał książe, to mała rzecz, kiedy macie tak dobrą o nim opinję, ja mu dam pieniędzy, a po powrocie jego z podróży obiecuję się nim zająć.

Można sobie wyobrazić wzruszenie młodego człowieka, i te wszystkie obrazy czarowne przyszłych podróży i powodzeń, jakie mu kreśliła bujna imaginacja.

Zaczynał się właśnie rok 1654, kiedy Piotr wyjechał w podróż w 19 roku życia swego; lubo młody i niedoświadczony, usprawiedliwił jednak pochwały wuja, szukając wszędzie prawdziwego pożytku, zwiedzając biblioteki i zakłady naukowe w Niemczech, Hollandji, Anglji i Francji. W Oxfordzie słuchał wy-

---

([1]) Patrz na stronnicy (233).

kładów uniwersytetskich przez dwa lata, tak samo i w Paryżu pilnie pracował, ucząc się prawa i przypatrując się instytucjom politycznym. Nareszcie wrócił do kraju po 8 latach nieobecności, przyjrzawszy się różnym społeczeństwom i nauczywszy się wiele. Mówił 10-ma językami, co i dziś jest rzadkością, a co wówczas było rzeczą niesłychaną. Spodziewał się znaleść wkrótce korzystne miejsce między swemi, ale wielu z jego dawnych protektorów umarło; do panującego księcia, który łożył na jego podróże, dostać się nie mógł i był bardzo szczęśliwy, gdy ze wszystkiemi swemi tytułami naukowemi, dostał się za sekretarza do kanclerza państwa. Jednakże ten urząd, który wcale nie odpowiadał jego pysznym widokom, stał się w przyszłości jego wyniesienia narzędziem, tam bowiem znalazł sposobność przypomnienia się panującemu księciu. Po pewnym przeciągu czasu zdarzyło się raz że kanclerz zasłabł wtedy właśnie kiedy miał się udać do księcia z ważnemi papierami; powierzył więc swą tekę sekretarzowi rozkazując ją oddać jednemu z paziów będących na służbie, ale sekretarz zanadto był zręczny, aby skończyć na przedpokoju; starał się sam wręczyć papiery księciu i czekać na jego rozkazy. Tymczasem książe przeczytał to co mu przysłano i zaczął chodzić po gabinecie z miną skłopotaną, czy nieukontentowaną. Piotr stał ciągle przy drzwiach i po krótkiem namyśle ośmielił się odezwać przypominając, że jest tym samym studentem, na którego utrzymanie w obcych krajach książe raczył łożyć łaskawie.

— Poświęcałem, rzekł, cały mój czas nauce, z zamiarem stania się kiedyś użytecznym, i niczego więcéj nie pragnę, ażebym kiedy mógł W. K. Mości dać dowód mojego poświęcenia.

Książe podniósł oczy i zaczął się przypatrywać z przyjemnością wyrazistéj twarzy młodzieńca, którego błyszczące oczy zapowiadały niepospolitą bystrość umysłu, zrobił mu kilka zapytań, a następnie podawszy mu papiery rzekł.

— Nie jestem kontent z téj depeszy, sprobuj napisać mi co lepszego.

Piotr usiadł, a znając dokładnie stosunki ościennych krajów, wywiązał się jak najlepiéj z poruczonego zadania. Książe przebiegłszy oczami jego pisanie zawołał z radością.

— Dobrze moje dziecko, tego właśnie chciałem. I w téj chwili zawdzięczając protegowanemu swemu, że tak dobrze jego darów umiał użyć, wziął go do siebie, oddał mu w zarząd archiwum i bibliotekę, które dla młodego człowieka, stały się nowem ukształcenia źródłem. Książę zachodził często do niego, lubił z nim rozmawiać o różnych przedmiotach, oceniał go coraz bardziéj i stanowczo do swego boku przywiązał, mianując go na coraz wyższe urzędy. I tak roku 1662 powrócił ze swojéj podróży bez majątku, bez podpory, myśląc że zaledwie posadę profesora będzie mógł otrzymać za pomocą swoich dyplomów, tymczasem i to jeszcze było mu odmówione, a w roku 1770 widzimy go tak ważną figurą, że już budził te cierpkie niechęci, jakie zwykle pośród naszego chciwego społeczeństwa rodzi powodzenie.

Respice post te (obejrzyj się po za siebie) wołał rzymski niewolnik, postępując na *Via Sacra* za wozem tryumfatora. *Respice post te* zdawała się także mówić arystokracja miejscowa do tak spiesznie wyniesionego plebejusza, którego fortuna jeszcze bardziéj wzrość miała po śmierci księcia, pod rządami jego następcy. Nie dziw, że panujący obdarzają swą łaską ludzi roztropnych, którzy im ułatwiają ciężar władzy, nie dziw, że dają im ufność i obsypują darami swemi. To samo stało się i z naszym Piotrem; stał się panem licznych zamków i włości, piersi jego okryły znaki najzaszczytniejsze, więc jego mieszczańskie nazwisko zawadzać mu zaczęło i wziął inne od zamku, który był jego własnością. I my też Toensbergiem go nazwiemy, i trzeba wyznać, że jakkolwiek były wielkie honory jakiemi go otaczano, on na nie w zupełności zasłużył pracą, rozumem i poświęceniem.

Sława jego rozeszła się nawet do obcych krajów. W Wersalu król Ludwik XIV odezwał się publicznie z jego pochwałą. Z Hiszpanji przysłano mu prezenta, a uniwersytet Oxfordzki pyszny, że go widział w swych murach zawiesił z wielką pompą portret jego w swojéj bibliotece. W miarę tego rosła zazdrość i nienawiść. Toensberg upojony wyniesieniem zaczął upokarzać nieprzyjaciół dumą swoją, drażnił ich niepraktykowaną dotąd w kraju ostentacją i zbytkiem. Ci co z nim zaczynali karjerę, nie mogli patrzeć na szybkie jego wyniesienie i wszyscy gotowi byli przyłożyć rękę do jego zguby.

Wróćmy teraz do tego ubogiego domku, do którego niegdyś wracał ochoczo student marząc o swojem szczęściu, że go za najpierwszego w szkole uznano. Korzenny sklep już dawno zamknięto, nie dla tego, że dzisiejszego wielkiego pana raziłoby to przypomnienie, lecz że matka staruszka nie podołała już kłopotom handlu. Ona najdrobniejszéj pomocy od syna przyjąć nie chce, naprożno jéj ofiaruje mieszkanie w swych pałacach, swoje karety, swoje cugi przepyszne, matka odpowiada stanowczo, że ze swego stanu wyjść nie chce, i że utrzymanie, jakie ma, starczy jéj aż nadto. Bracia i siostry przyjęli chętnie od Piotra dobra i urzędy; dalsi krewni starali się coś skorzy-

stać, tylko ta matka nieugięta, poważna, obojętna na wszystkie wielkości świata, tak imponująca w uporze swoim, niesłychane na umyśle syna czyniła wrażenie.

Nigdy jednak z tą matką nie zerwał i teraz widzimy go jak z odległego zamku pędzi złocistą poszostną karetą; dwóch laufrów biegnie przed nim, sześciu wygalonowanych lokai go otacza. Zbliża się do skromnego domku w najweselszem usposobieniu, zgryźliwych przestróg matki, złowrogich jéj przepowiedni niepomny; staje mu przed oczyma owa żebraczka co mu o złotem jabłku prawiła w dzieciństwie, i uśmiecha się, i głowę dumnie wznosi i wyciąga prawicę, bo oto trzyma je już to złote jabłko i aż nadto pewny siebie, że mu się nie wyślizgnie. Jakże by mógł sądzić inaczéj, teraz, kiedy stoi u szczytu potęgi, kiedy kocha i jest kochany przez jedną z najpiękniejszych dziewic, któréj posag zdwoi jeszcze jego bogactwo. Przybywa tedy prosić matki o błogosławieństwo.

— Moje błogosławieństwo masz zawsze synu, odrzekła matka smętna i rozrzewniona, oby ci tylko Bóg błogosławił!...

— Ach matko! zawołał, czegoż zawsze ta nieubłagana wątpliwość, co mi brzmi, jak smętna przepowiednia. Mam przeświadczenie żem nikogo nie zgubił, nikogo nie skrzywdził, że służę wiernie księciu memu, i to co robię ma dobro kraju na celu, czegoż mi więc wyrzucasz że postępuje w sposób odpowiedni mojéj godności.

— Czy godność potrzebuje tyle blasku, tyle hałasu, aby w nią uwierzono, pytała matka zawsze surowo. Odejdź synu, a czuwaj nad sobą, aby cię pycha nie zaślepiła; wierzaj mi Bóg straszny dla pysznych.

— I znowu pędem dzielnych rumaków uniesiona, oddaliła się złocista kareta. Pan co w niéj siedział, do rozkosznych swych myśli powrócił, a oko kobiety staruszki, co za nią po przez szyby okna śledziła, zaszło łzą niepokoju i smutnego przeczucia.

Znów kilka lat upłynęło, Toensberg siedzi zamyślony w jednéj z najpyszniejszych komnat zamku swego. Pozornie nie zaszła koło niego żadna odmiana.

Nie cierpią go mieszczanie za to że wyszedł z ich grona i stanął tak wysoko, ale on wie o tem i lekceważy tę niechęć. Nie nawidzi go szlachta, któréj on przywileje i dumę pragnie ukrócić i do powściągnienia ich roszczeń dzielnie dopomaga księciu swemu; szlachta też wszystkie wytęża siły, aby go zgubić, ale on i o tem wie i tych usiłowań się nie lęka. Cóż więc zaszło pod tą jego strzechą złocistą, tak zawsze gwarną i ludną a dziś jak grób milczącą. Jaki smutek głęboki jego czoło pochylił? ten największy, ten niepowetowany, co jest duszy osieroceniem. Umarła mu przed kilku laty, zaledwie poślubiona żona, a była to kobieta słodka i cnotliwa, przekładająca rzetelne szczęście nad zadowolenie ambicji, dała mu też nie raz niejedną zdrową radę. Mąż po jéj zgonie zapisał własnoręcznie w swoich notatkach: „Dnia 12 Maja umarła mi żona; zasnęła spokojnie, zawsze łagodna, wiary pełna, niech jéj Pan Bóg da zbawienie, a mnie który tu we łzach zostaję—pociechę. Wielki Boże zmiłuj się nad moją boleścią, pociesz mnie i spraw abym się stał lepszym.” Znać jednak, że i tak gorzkie łzy mogą się prędko osuszyć, wkrótce potem widzimy Toensberga rozkochanego w pięknéj księżniczce spokrewnionéj z domami panującemi w Europie. Pani de Sewigné, która tak powabnie w swych listach opisywała córce różne ploteczki, donosi te szczegóły w następujący sposób: „O dworze francuzkim nic nie wiem, ale ci dam wiadomości z dworu X; wiedz tedy, że do stolicy przyjechała tam księżniczka, która się stała przedmiotem powszechnego uwielbienia. Jest tam brat panującego księcia, piękny, szarmancki, któregośmy wszyscy we Francji widzieli, a który rozkochał się w księżniczce. Ona by pewno miała skłonność ku niemu, ale cóż kiedy tam jest dygnitarz wszechwładny, jakiś hrabia de Kinghstoghmkllfell, czy jak go tam zechcesz wymówić moje dziecko, który także się kocha w księżniczce, a księżniczka go nie nawidzi. Nie dla tego, żeby nie miał być kształtnéj postawy, żeby nie miał rozumu, lub żeby mu brakowało dworskości i odwagi, ale wystaw sobie nie jest szlachcicem a na tę myśl sama zemdléć można.” Widać jednak, że nasz bohater wyperswadował sobie tę miłość, gdy niedługo potem przedstawił się z prośbą o rękę innéj księżniczki z kraju ościennego. Ta mu przyrzeczoną została. Rodzice wyprawili ją do miejsca, w którem odbyć się miał ślub z największą okazałością. Lecz tu stała się rzecz dziwna i nigdy niewytłómaczona, księżniczka przyjechawszy na miejsce zawróciła i projekt małżeństwa zerwała; być może się dowiedziała o wielkiéj miłości narzeczonego dla innéj księżniczki. Rodzice jéj, krewni poprzysięgli nienawiść narzeczonemu, który, jak sądzili, odstręczył ją swojem postępowaniem, aby go zgubić łatwo pomoc znaleźli. Dosyć on już bowiem budził nienawiści, a rzecz smutna wyznać, że jego trzy najcnotliwsze postępki właśnie do zguby go doprowadziły, przez nie bowiem zrobił sobie trzech strasznych i potężnych nieprzyjaciół. Pierwszym był ościenny książe, z którym nie chciał zawrzeć układu niekorzystnego dla swego kraju; drugim był płochy doradca, towarzysz rozpustnych zabaw młodego księcia, któremu Toensberg dał wysoki urząd w oddalonem od stolicy miejscu,

trzecim nieprzyjacielem była pewna dama oddalona ze stolicy z wielką pociechą saméj księżnéj. Ci wszyscy zjednoczywszy się, tak go w oczach księcia potrafili oczernić, że go przedstawili jako najnikczemniejszego człowieka. Pewnego poranku Toensberg został aresztowany i zamknięty w téj saméj bibliotece, w któréj tyle szczęśliwych chwil przepędził. Późniéj przeprowadzono go do fortecy na więzienie. Napróżno chciał się widzieć z księciem lub pisać do niego, nie pozwolono mu; przetrząśnięto jego papiery, długo szukano napróżno dowodów jego potępienia. Ale złość ludzka umie wynaleść sposoby na dogodzenie swoim celom, potrafiono tak przekręcić jego postępowanie, że znaleziono winę, i został skazany na śmierć przez ludzi, którym świadczył dobrodziejstwa. Ci dwaj zaś, którzy wotowali za jego uwolnieniem, byli właśnie ludzie, pozostający ciągle w otwartéj z nim wojnie.

Wyrok śmierci przyjął z rezygnacją i spokojem, jedna rzecz go tylko niepokoiła—córka, dziecię czteroletnie, którą pozostawiał sierotą.

W dzień oznaczony pewnym krokiem wszedł na rusztowanie, gdzie już oczekiwał kat z obnażonym mieczem, a obok stała trumna, przeznaczona na przyjęcie jego szczątków śmiertelnych. Spojrzawszy na zgromadzonych widzów odezwał się, że nie poczuwa się do niczego takiego, coby było wykroczeniem przeciwko jego obowiązkom, ale przyjmuje karę, jako zadosyć uczynienie za swe grzechy i poleca się miłosierdziu boskiemu. Potem ukląknął, zmówił krótki pacierz, związał włosy i zdjął krawatę. Nie pozwolił tylko, żeby mu oczy zawiązano, powiedział do kata, że mu da znak podniesieniem ręki w górę. Kat tymczasem łamał jego herby i deptał je nogami.

W chwilę późniéj ręka jego wzniosła się, miecz błyskał w ręku kata i miał opaść na jego głowę, gdy zawołano z tłumu: zatrzymać się, zatrzymać, ułaskawienie.

— Ach! zawołał Toensberg, gdy mu to oznajmiono, już tak byłem przygotowany umrzeć, jednak jeżeli mam żyć niechże za to będą dzięki Bogu i księciu memu.

Śmierć jednak zmieniła się tylko na więzienie dożywotne.

— Wolałbym umrzeć, wołał nieszczęsny. Miał wtedy lat 41.

Znów ta sama poszostna kareta, którąśmy już widzieli tylko już bez laufrów i licznéj liberji, pędziła do miasteczka i stanęła przed znanym nam skromnym domkiem. Przywiozła ona do babki wnuczkę, córkę ex-ministra, która już nigdy nie miała ujrzeć ojca swego.

I wysiadło do skromnego domku dziecię spłakane, a cały przepych jaki widziała u ojca, owe pałace, ogrody, piękne cugi i służba liczna, pozostały w jéj wspomnieniu, jak czarodziejskie powieści opowiadane przez niańkę. Zaledwie małą część majątku matki jéj oddano. Wyrosła zatem obok krewnych w cichéj mierności modląc się za ojca, który żył jeszcze w więzieniu lat 23. Osadzono go w fortecy na samotnéj skale, jeden wierny sługa podzielił z nim jego niedolę. Nie dozwolonem mu było pisać, ale szczęściem miał książki do pisania. Z dawnych bogactw został mu pierścień djamentowy, i tym na szybie kreślił różne zdania i wierszyki, odnoszące się do jego położenia:

Młody i pokorny zyskałem łaskę mego pana,
Za łaską poszła władza i bogactwo,
Bogactwo uczyniło mnie pysznym; pycha strąciła w przepaść...
I pozostałem sam ze słabością moją,
Sam i ubogi, ubóstwo zwróciło mnie znów do pokory.

Nareszcie dozwolono mu pisać i wychodzić na przechadzkę, ale już nie korzystał z téj ulgi, może widok pól, lasów i ludzi pracujących swobodnie, zbyt dotkliwie mu przypominał jego położenie.

Opowiadają, że książe go żałował, i że raz odezwał się do doradców swoich: „On lepiéj od was rozumiał interesa kraju.” A kiedy indziéj, rozgniewany zawołał: „Miałem przy sobie człowieka rozumnego i ukształconego, a zastąpiłem go trzema łotrami. Tymczasem więzień z braku ruchu wpadł w chorobę dotkliwą, znosił ją jednak cierpliwie, zbyt hardy, ażeby narzekać. Wtedy jeden z jego dawnych przyjaciół zdołał mimo wszystkie przeszkody donieść o jego stanie księciu. Nastąpiło ułaskawienie, niestety już zapóźno. Przeniesiony do poblizkiego miasteczka nie miał siły już jechać daléj i umarł we dwa miesiące. Jedyna pociecha, jaką miał jeszcze przed śmiercią była wiadomość, że jego córka poszła za mąż bardzo dobrze.

Tak zgasł człowiek niepospolitych zdolności, którego ambicja z granic mierności w jakich się urodził wypchnęła.

Nie podaliśmy tu nazwisk i miejsc ludzi, rzecz to bowiem obojętna, a nauka wymowna z tego obrazu, którego wszystkie szczegóły są prawdziwe, zbyt często niestety! powtarza się w historji.

MARJA EDGEWORTH.

(autorka Irlandzka).

Jeszcze w początkach wieku bieżącego, gdy chciano przedstawić w teatrze czy w powieści błazna lub rzezimieszka zwano go irlandczykiem, tak pełno było uprzedzeń względem tego nieszczęsnego ludu, szczególniéj też w angielskim narodzie. W epoce unji, te szyderstwa i lekceważenia irlandczyków pomnożyły się jeszcze i właśnie wtedy dwie kobiety z talentem, różniące się wprawdzie wychowaniem i sposobem myślenia, ale podobne do siebie miłością prawdy i kraju, kreśląc wymowne obrazy życia współziomków, nauczyły ogół patrzeć sprawiedliwiéj na ich charakter i nie tając ich wad, wykazały przymioty i poparły dzielnie ich sprawę w obec uprzedzonego sądu spółczesnych.

Jedną z nich była miss Ovenson, późniejsza lady Morgan, znana z swych powieści obrazowem piórem kreślonych, druga miss Edgeworth, poważna i surowa, a jednak wdzięku pełna w swych opisach.

Wpływ literacki Marji Edgeworth był ogromny; tembardziéj że wiele dzieł poświęcała dla młodzieży. Miała to szczęście że nie potrzebowała pisać za pieniądze, dla utrzymania życia, była więc zawsze niepodległą w swych utworach. Edgeworthstown, majętność którą kupiła po śmierci ojca, dostarczała obficie wszystkiego co do wygody i przyjemności życia potrzebne.

Edgeworthstown leży o mil siedm od Longford. Do obszernego domu prowadzi ulica sadzona staremi już dziś, cienistemi drzewami. Trawniki tak piękne jakie tylko w Wielkiéj Brytanji widzieć można, ścielą się aż pod same okna sal rozległych. Zajrzemy do téj, która mieści bibliotekę i w któréj najczęściéj zbiera się cała rodzina, a Marja zwykle pracuje. Rodzina zaś liczna bo pan Edgeworth miał cztery żony i dużo z nich synów i córek; w 1814 roku (pisze Marja) najstarszy syn miał przeszło 45 lat, najmłodszy zaś rok. Ztąd i bezwątpienia poszedł kierunek jéj talentu, że jako córka najstarsza, była niejako w charakterze drugiéj matki przełożona nad temi dziećmi różnego wieku, umiała więc najwznioślejsze uczucia i zdrową moralność życia, stosowną do ich pojęć uczynić, jéj saméj zaś nie zbywało na sposobności ćwiczyć się w cnotach domowych, które wdzięczną aureolą pamięć jéj opromieniają.

Lecz przypatrzenie się Marji w bibljotece, najlepiéj wam jéj rolę w rodzinie przedstawi. Ogromny podługowaty stół stoi w pośrodku, a przy nim każdego miejsce naznaczone. Ten czyta, ów pisze, rachuje, tamta zajmuje się jakąś ręczną robótką. Marja ma przy oknie swój kącik osobny i bardzo prosty stoliczek do pisania. Na nim największa ozdoba przechowywana starannie jest pióro podarowane jéj przez Walter Scotta, w czasie jego odwiedzin 1825 roku.

Umysł Marji miał szczególną własność, że lubo rozmyślaniem zajęta i pozornie zamknięta w sobie, słyszała jednak co mówią drudzy i nieraz wmieszała się do rozmowy nie przerywając swojéj pracy. Czasami wyszła aby przynieść jaką zabawę dla którego z dzieci, lub wstała aby zdjąć z półki książkę mogącą rzucić światło na spór, który w rozmowie przytomni toczyli i znowu siadała, brała pióro, pisała daléj nie doznając przerwy w myślach swoich.

Wstawała zwykle bardzo rano i pisała lub czytała aż do śniadania dość późnego. Jéj zatrudnieniem było rwać kwiaty do bukietów, które w czasie lata pokoje zdobiły. Troskliwie pamiętała o gościach, którzy licznie nawiedzali Edgeworthstown, żeby mieć zaszczyt ją poznać lub porozmawiać z nią, słowem nigdy jéj nie brakło czasu na pamiętanie o wygodzie i przyjemności drugich; miała zawsze dla każdego te drobne uprzejmości i starania, które wielki wdzięk życia stanowią.

„Dzień dżdżysty był dla nas prawdziwą uroczystością, pisze jeden anglik który był u niéj w odwiedzinach, bo wtedy miss Edgeworth nie opuszczała nas i zachwycała powabem swéj rozmowy. Pewnego razu postawiła przed nami spory kuferek zawierający jéj korrespondencję ze spółczesnemi znakomitościami. Były tam listy literatów, artystów, reformatorów, utopistów, mężów stanu ze wszystkich stron Europy, a szczególniéj Ameryki, o któréj wyrażała się zawsze z uwielbieniem. Widząc ją w Londynie, zdawało nam się dostrzedz że nudziły ją wszelkie attencje jakiemi usiłowano uczcić jéj talent, lubo starała się przyjmować je grzecznie; w swym domu przeciwnie była swobodną, zapominała że jest autorką, stawała się tylko nad wyraz przyjemną kobietą i gospodynią domu.”

Nie sądźmy jednak żeby była piękną, owszem, nawet w młodości brzydką ją można było nazwać, była bowiem bardzo drobna, twarz miała bladą i chudą i nieregularne rysy, lecz oblicze jéj miało wyraz takiéj życzliwości serdecznéj, a w obejściu łączyła w tak przy-

jemny sposób powagę angielską z irlandzką szczerością, że rozmawiając z nią nikomu nie przyszło na myśl zastanawiać się czy ona piękna czy brzydka.

Walter Scott, który ją czcił jako kobietę wyższą, a kochał jak przyjaciołkę, tak się o niéj wyraża w swoim dzienniku.

„Miss Edgeworth pisze śmiejąc się, rozmawiając lub jedząc. Co mię w niéj nad wszystko zachwyca, to ta mieszanina prostoty, finezji i dobroduszności, która się łączy w jéj umyśle z niepospolitym darem obserwacji.” Skromne rozumienie o sobie było jéj cechą do ostatnich chwil życia; mieszkała z macochą o kilka lat młodszą od siebie, w majątku który jak już powiedzieliśmy był jéj własnością, a uważała się zawsze za drugą osobę w domu, i honory, jakie jéj wyświadczano zwracała ku niéj. Mówiła, że ożenienie się z nią ojca było jednem z największych dobrodziejstw, jakie dla nich uczynił.

Ale bo też wyznać trzeba, że czem była Marja Edgeworth to była winna ojcu swemu. Rodzina ich osiedliła się w Irlandji jeszcze za panowania królowéj Elżbiety, lecz tak babka jak i matka Marji były angielki. Matka, pierwsza żona p. Edgeworth umarła młodo, w sześć lat bowiem po urodzeniu się Marji, już się żenił powtórnie. Ta druga żona prędko także umarła, a siostra jéj stała się powtórną macochą Marji. Z tą trzecią żoną żył lat 18, a owdowiawszy, ożenił się po raz czwarty i ta żona, ta ukochana macocha Marji, nietylko jego ale nawet ją przeżyła.

Ojciec sam kierował wychowaniem Marji, jemu więc w części się należy zasługa moralnego wpływu, jaki jéj pisma wywarły. P. Edgeworth umiał swe życie pożytecznem uczynić. Jako członek parlamentu, jako urzędnik, jako właściciel dóbr, jako ojciec, pokazuje się nam zawsze pełen godności. „Mało osób,—pisze Marja z tego powodu—jest tak szczęśliwych jak ja, żeby znajdować tyle korzyści umysłowych w towarzystwie nauczyciela podobnego jak mój ojciec.” Bezwątpienia trzeba było niepospolitego człowieka, aby wprowadzić Marją w świat literacki ówczesny, autorstwo było uważane jeszcze za niedostępne dla kobiety, bo chociaż, według Burkego, było wtedy w Wielkiéj Brytanji 80 tylko osób czytających, to przecież kobiet było bardzo mało w téj liczbie. P. Edgeworth pisze nam, że jego babka nie cierpiała kobiety, która umiała cokolwiek więcéj jak czytać Biblję i utrzymywać domowe rachunki, więc robiła wszystko co mogła żeby jego córce przeszkodzić do *tracenia czasu nad książkami*. Pomimo jéj woli zatem Marja stała się slawną.

Jeffrey, krytyk, pisze: „Romanse ówczesne przechodziły to wszystko, co sobie można wyobrazić najszpetniejszego, lecz te książki plecche i nikczemne pierzchły, jakby jakimś cudownym sposobem, skoro się pokazała ta czcigodna kobieta, któréj może zawdzięczamy romans Wawerleja, gdyż Walter-Scott przyznaje się skromnie, że po poznaniu się z miss Edgeworth zapragnął zrobić to dla Szkocji, co ona dla Irlandji już zrobiła.”

Marja lubiła wyznać zawsze i wszędzie ile jest winna światłemu kierownictwu ojca.

„W r. 1791 i 92 na nalegania mego ojca zaczęłam spisywać niektóre powiastki dla dzieci, których edukacją wtedy kierował i wydrukowałam kilka moich *lekcji w formie rozmów*. W naszym systemacie edukacji, wszystkie myśli główne pochodziły od mojego ojca, a ja je tylko rozwijałam. W taki sposób dzieło p. t. *Edukacja praktyczna* wyszło r. 1798 jako owoc naszéj wspólnéj pracy. Od niego to zaczęła się ta spółka literacka, która przez tyle lat stanowiła radość i dumę mojego życia.”

Z téj spółki pisarskiej wyszła także książka p. t. *Irish bulls* zbiór powiastek pełnych życia i dowcipu, ktore p. Edgeworth opowiadał a Marja spisała. Romans p. t. *Protektorzy i protegowani* napisał się także w ten sam sposób. „Ojciec mówił mi, pisze Marja, twoja rzecz jest pisać, a moja rozwijać i poprawiać. Cała jego ambicja literacka na mnie się skupiła i dzięki jego wpływowi, najmniejsza praca moja nie pojawiła się niewykończona.”

Ojciec z córką rzadko się rozdzielali, a w kilku listach, które do niéj pisał czytamy podpis: Twój krytyk, współpracownik, ojciec i przyjaciel.

P. Edgeworth był więc ojcem, nauczycielem, przyjacielem i towarzyszem swoich dzieci; żyły z nim na stopie równości, która w niczem nie zmniejszała należnego szacunku. Z 22-ch jego dzieci troje żyło najdłużéj, ale pozostała cała generacja która korzysta z tego zacnego posiewu, jaki się wtedy w Edgewortstown dokonał. Marja żyła lat 83, umarła w 1850 r. Dzieła jéj nie należą wyłącznie do jéj czasu, — są własnością potomności. W owéj epoce powszechnie skażonego smaku były one arcydziełami; miłość jéj dla kraju była głęboka, ale nie należała wyłącznie do żadnego stronnictwa; jéj wiara religijna i polityczna, był to Chrześcianizm w najczystszem i najobszerniejszem znaczeniu tego słowa. Staranna w ubraniu, wypełniająca pilnie wszystkie obowiązki jakie wkłada rodzina, tkliwa i poświęcona dla uboższych, umiała sobie zjednać miłość powszechną.

Szkoda, że nie pozostał nigdzie wizerunek téj znakomitéj kobiety. Czy skromność czy przeświadczenie o braku urody wstrzymywały ją zawsze od zezwolenia na zrobienie swego portretu, zaledwie ktoś uprosił u rodziny, że ją naszkicowano w rysunku przedstawiającym wnętrze jéj biblioteki.

MACHINY I ICH ZADANIE MORALNE.

Wrażenia w Wystawy powszechnéj.

Rzecz to dobrze obmyślana i która się powszechnie podobała, że na Wystawie paryskiéj ukryto przed oczami publiczności motory obracające machinami. Mamy przed sobą przyrządy działające z cudowną regularnością, z niezmęczoną szybkością i dokładnością matematyczną, a szukamy napróżno kotła, gdzie tworzy się siła i zkąd się rozdziela. Na to trzebaby wyjść z pałacu Wystawy i wejść do jednego lub drugiego z wielkich budynków, które na zewnątrz widzieć się dają. Na każdym z nich sterczy wysoki komin, niby kolumna wzniesiona na chwałę przemysłu. Tam to rodzi się siła wyprowadzona z niczego przez naukę, która znalazła tajemnicę zamienienia ciepła na ruch. Machina staje się jakby potężnem zwierzęciem, któremu człowiek daje na pożywienie węgiel kamienny i gaz, a które oddaje z procentem pożywienie, jakie dostało od swego pana.

Dobrze urządzone komunikacje utrzymują stosunki między machinami każdéj sekcji, a tem centrum życia i czynności. To skomunikowanie jest tak ukryte, że każdy przyrząd zdaje się chodzić o własnéj mocy. Widok ruchu, którego pozornie nie widać źródła, daje pierwsze wrażenie podziwu, którego mimo wielkiéj znajomości rzeczy ustrzędz się nie można. Świat przemysłowy nie podobny bynajmniéj do świata naturalnego, natura z czasem się nie rachuje, jéj działanie jest swobody i pokoju pełne. Całego roku potrzebuje ziarnko zboża aby wyrosło i dojrzało; zwolna występują soki mające je użyznić, raz powstrzymane przez lody zimowe, to znów rozbudzone przez wiosenne tchnienie, aż nareszcie przechodzą w owoc dojrzały pod promieniami słońca letniego, słowem wszystko w naturze dopełnia się z powagą, przez niewidzialną czynność wewnętrznego ruchu. Łatwiéj jest dostrzedz jego rezultaty, niż postępować w ślad za jego rozwijaniem. Człowiek dla dokonania dzieł swoich nie ma tyle swobodnego czasu, to też nie zachowuje tego spokoju przy tworzeniu. Świat machin jest światem hałaśliwym, gorączkowym, wszystko się tam spieszy, wszystko pędzi i rwie, materjał przechodzi od jednéj operacji do drugiéj, bez przerwy, bez odpoczynku; zaledwie wyrwał się z pod tego walca, który go rozmiażdża, już oto jęczy pod temi zębami które go szarpią; wyciąga się, skręca, rozcieńcza i zbiera w massy olbrzymie, lub znika w drobnych cząsteczkach. Przejdźmy rozmaite fazy fabrykacji: kilka minut zaledwie upłynęło od czasu w którym położono z tego brzegu wełnę, konopie, lub niekształtne gałgany, a oto po pewnym przeciągu czasu, na drugim końcu przyrządu można już odebrać sztukę perkalu, płótna lub papieru.

Starożytni nie mieli machin, trudno bowiem nazwać machiną jakiekolwiekbądź wydoskonalone narzędzie. Oni odkryli tylko jedną siłę zdolną objawiać się w skutkach bez pomocy człowieka, to jest ten ogień niebieski, który Eschyles pokazuje nam jako ukradziony przez Prometeusza Jowiszowi. Śmiałka zemsta Boga dosięga, ale nie może już zniszczyć dobrodziejstwa danego człowiekowi; podczas tedy kiedy Prometeusz cierpi i męczy się na górze Kaukazu, Grecja uzbrojona w tę nową potęgę wchodzi na drogę cywilizacji.

Ta bajka starożytnych przypomina się ciągle patrząc na nasze dzisiejsze machiny. To jest ta iskra, ten pożar, z którego siła się rodzi. Sami Grecy nie wiedzieli do jakiego stopnia ich myt tragiczny był zarazem przeczuciem i symbolem prawdy. „Człowiekowi, który ziarno roli powierza, nie pozostaje nic więcéj jak skrzyżować ręce i wznieść oczy do Tego, który zsyła na ziemię deszcz i słońce, mówił niegdyś p. Dupin i tak: Bóg robi się pierwszym współpracownikiem rolnika. Opatrzność widocznie dokłada ręki do jego roboty, pracuje obok niego."

Lecz robotnik który kieruje machiną i głaszcze ją ręką, jak arab swego rumaka, czyż nie ma także niewidomego współtowarzysza, który jego pracę dzieli? Machina nie jest tylko zbiorowiskiem kół, trybów i walców, które jéj powierzchowność stanowią, ma ona także swą duszę, nie przedstawia tylko pewnéj ilości siły, która ma się zużyć i zniknąć w wypełnieniu swéj pracy, ona przedstawia także intelligencję kierującą, dzięki któréj każde poruszenie wykonywa się w téj przestrzeni i czasie, jakie mu są nakazane.

Był tedy nie jeden człowiek, który nie poprzestając na sile i na przypadku, zasępił czoło poważną zadumą, stawiając sobie w ciszy swéj pracowni problemata, które chciał rozwinąć. Trzeba mu było nadać stali, drzewu, kamieniowi, całą potęgę żywiołów, delikatność ręki najwprawniejszéj, pewność najbystrzejszego spojrzenia, szybkość myśli, wytrwałość silnéj woli, słowem, trzeba mu było wlać w zbiorowisko przyrządów materjalnych

przymioty, rzec można, umysłowe i moralne. I tak stworzył machinę.

Znalazł sposób wlać w to żalazo, w to drzewo, w ten kamień, swoją własną intelligencją i swoją własną myśl. Dusza, która żyje i tchnie w tych obrotach kół, to jego dusza. Systematyczność i pewność panujące we wszystkich poruszeniach, to obecność jego woli, utrwalonéj niejako, wcielonéj w te przyrządy, a więc myśl wynalazcy żyje w machinie, tak jak natchnienie artysty w dziele sztuki. Zatem i robotnik pracujący przy machinie może sobie powiedzieć, że i on także nie jest sam, że ma także swego współpracownika; cichy, spokojny obok niego towarzysz, to człowiek teorji, to uczony wynalazca.

W miarę jak machina się obraca, w każdem jéj uderzeniu, w każdym jéj ruchu i w każdym rezultacie jaki daje, widzimy owoc potrójnéj asocjacji: Boga który utrzymuje prawa natury, i sprawia że węgiel się pali, że gaz rozsadza, a para rozpręża, — geniuszu który zostawił myśl swoją w budowie przyrządu — i pracownika, który przychodzi trzeci do spółki. Jemu to są posłuszne siły natury, od której machina zapożyczyła swą czynność i kombinacje uczonego, których świadomością, swą pracę w czyn wprowadza.



Portret Klementyny Hoffmanowéj.

Wyobraźnia starożytnych zapełniała świat cały bóstwami opiekuńczemi, które zarządzały obrotem ciał niebieskich, wzrostem roślin, płynięciem wody ze źródeł: „Wszystko było pełne bogów" powiedział Ś-ty Augustyn. Dziś można powiedzieć z większą prawdą, że warsztaty pełne są ludzi genjuszu, gorliwych a niewidzialnych współpracowników robotnika. To współpracowictwo nie jest bynajmniéj pomocą materjalną, chwilową, któréj wytrwałość może niedopisać, lub się znużyć. Jeżeli machina zniszczeje, rozpadnie się z czasem, nic nie ma straconego; myśl wynalazcy nie zniknęła wraz z narzędziem, które stworzył, pozostaje ona cała, nienaruszona, gotowa ożywić inny organizm. Tu się tedy sprawdza w całem znaczeniu słowa pomysł metampsychozy indyjskiéj i greckiéj; dusza wynalazcy ożywi nową machinę, mimo czas i zniszczenie odrodzić się może i reprodukować do nieskończoności, nie zatracając pierwowzoru.

Nie spuszczajmy z oka tego fenomenu *niewidzialnéj spółki.* Machina dla każdego myślącego człowieka, nie jest już tym strasznym potworem, koło którego ludzkość zbłąkana staczała walki, ale stała się narzędziem pokoju i nawet, jeżeli się wyrazić godzi, ołtarzem, przy którym człowiek teorji i człowiek praktyki ręce sobie podają. Tu się urzeczywistnia pocieszająca dla oka harmonja między myślicielem a robotnikiem. Rozmyślania naukowe użyły pracy, płody zaś przemysłu zaopatrują potrzeby myśliciela.

Chcąc na Wystawie powszechnéj objąć okiem całość ruchu machin, trzeba wejść na chodniki wiodące na wzgórze, z którego spojrzenie na dół budzi przestrach, mimo tego że czujemy mocną zaporę między nami a przepaścią, co huczy i wre pod nogami naszemi. Tutaj potęga ludzka robi takie wrażenie jak widoki wielkich wstrząśnień natury. Co by się to stało z nami, gdyby te walce, te skrzydła, te zęby schwyciły choć kawałek odzienia naszego, — jak nędzną wtedy wydaje się nam siła rąk naszych, jak błahy opór wszelki!

Gdy zejdziemy z téj przechadzki po górnych galerjach do miejsca gdzie stoją kotły, gdy spojrzymy na te ziejące klapy bezpieczeństwa, rzecz się ma jeszcze gorzéj, takie to tam wszystko czarodziejskie, piekielne, straszne! Jednakowoż spotykamy w głębi tych pieczar najczęściéj człowieka wątłego i małego wzrostu; lica jego blade, tylko spojrzenie płonące zdradza pana. Człowiek ten nie doznaje w obec tego świata sił mechanicznych, przerażenia, jakiemu ulegają tłumy, nie zna wahania się niewiadomości, jemu bowiem te potwory są posłuszne, on wyciąga rękę nawet bez wielkiego usiłowania jakie dawniéj było potrzebnem przy machinach prostéj kon-

strukcji, ale wyciąga ją z wielkim spokojem, łatwością, a nawet z pewną elegancją. Skoro *np:* ten pręt żelazny zostanie podniesiony lub zniżony, skierowany na prawo lub na lewo, para posłuszna rozkazowi bucha lub zatrzymuje się, pancerna fregata puszcza się z szybkością zdolną nieledwie przebić granitowe mury, albo zatrzymuje się cicha i spokojna jak koń dobrze wytressowany. Do zmniejszenia pędu swego używa téj samėj siły, która ją naprzód popychała.

Rzućmy tedy pierwsze wrażenia dziecinne na widok machin t. j. trwogę i tajemnicze uwielbienie w obec niedokładnie znanéj nam siły, a wznieśmy myśl naszą, ażeby sobie o tym obrazie, godne jego a prawdziwe wyrobić pojęcie. Machiny względem ludzkości wypełniają prawdziwą missję braterstwa,—robią więcéj niż wszystkie mowy dążące do ustanowienia równości między ludźmi. Przed wynalezieniem machin, wartość robotnika mierzyła się wedle jego wzrostu i siły cielesnéj; szerokie plecy, żylaste ręce, dawały mu przed inémi pierwszeństwo. Napróżno miałby umysł niepospolity, wolę wytrwałą, słowem wszystko co stanowi wartość moralną i umysłową człowieka, ręka słaba robiłaby go zawsze bezużytecznym. To nam tłomaczy ważność wszystkich ćwiczeń ciała w wychowaniu u starożytnych. Należało rozwijać siły przyszłych robotników, tak jak się dziś rozwija siłę wołu lub konia. Smutne to były życia warunki, wprowadzały bowiem pomiędzy ludzi najnikczemniejszą z hierarchji, bo hierarchję siły fizycznéj. Trzeba było jednak ulegać temu systematowi, dopóki człowiek musiał spotykać się z siłami natury samą tylko siłą swego organizmu i nie umiał jeszcze zapanować nad niemi przez naukowe zastosowanie swych władz umysłowych.

Póki ludzkość zostaje w tym stanie niemocy, widzimy ją sławiącą czyny najpospolitsze; robi boga z takiego Herkulesa, dla tego że swoją bohaterską ręką powymiatał stajnie Ogijasa, osuszył bagna, ujeździł konia, lub związał rozhukanego byka. Podobnie rycerskie czyny widzimy dziś codzień dokonywane przez najprostszych parobków.

W takich to nędznych tryumfach, w takich zwycięztwach śmiesznych, ludzkość musiała szukać swéj chwały; z machiną wszystko się zmienia. Téj dźwigni co podnosi funtów tysiące, na cóż się przyda nędzna siła człowieka? on nie potrzebuje męczyć swego organizmu ażeby przebiegać niepojęte przestrzenie, lub otrzymywać ruchy najszybsze. Nie będzie mu już potrzeba ani wprawy, żeby być zręcznym, ani usiłowania, żeby być potężnym; machina wszystkiemu odpowiada, od człowieka wymaga tylko przytomności umysłu. Umysł tu jest wszystkiem, a robota ręki jest tak mało znacząca, że prawie niewarto o niéj wspominać. Kiedy więc dawniéj trzeba było do roboty organizmów potężnych, a te były skazane na przedwczesne zniszczenie skutkiem niezmiernego wysilenia w pracy, dzisiaj już nikt siły rąk ludzkich na wagę nie ocenia. Człowiek nie potrzebuje dotknąć siekiery, gdy chce przełupać pień dębu, ani potrzebna mu piła, gdy chce otrzymać deskę.

Spojrzyjmy na tę nieprzeliczoną ilość warsztatów w ruchu: mechanik nie potrzebuje więcéj wysileń do pokierowania go jak artysta siedzący przed klawiaturą organów, praca ta bowiem jest czysto umysłowa. Machina zatem zaprowadza równość pomiędzy ludźmi; naznacza sile człowieka jéj właściwe miejsce, przez wykazanie małéj jéj ważności. Machina potrzebuje tylko do pokierowania zręczności. Zręczność to siła umysłu zastosowana do świata materjalnego.

Bez machin człowiek spada do znaczenia wołu lub konia, wtedy bowiem w ocenieniu jego ważną gra rolę rozrost jego ciała; z machinami przeciwnie wraca zaraz równowaga, ciało pozostaje na drugim planie, i panowanie rozumu nad materją jest zapewnione.

Pójdźmy jeszcze daléj. Machina ma nietylko tę cywilizacyjną missję zaprowadzania równości między ludźmi i nadawania przewagi władzom umysłowym nad siłą materjalną, co jeszcze świadczy o umoralniającym wpływie cywilizacji. Dopóki praca jest usiłowaniem pojedynczem, ograniczonem, można ją nakazać przez gwałt, i na téj to zasadzie opierały się dawniejsze społeczne stosunki; robota się nakazywała siłą i otrzymywała nieraz za pomocą kary. Ażeby być pewnym, że niewolnik obracać będzie kamień młyński, wyłupywano mu zwykle oczy; był to sposób zapobieżenia wszelkim roztargnieniom. Szewc, który robił koturny, był nietylko więźniem w swoim warsztacie, ale jeszcze przytwierdzano go łańcuchem za nogę, do krzesełka, którego mu niewolno było opuścić; a nawet szukając przykładów tego rodzaju niepotrzeba aż do starożytności pogańskiéj się zwracać;—wioślarze, którzy robili wiosłem na galerach, za Ludwika XIV byli obowiązani milczeć i na ten cel mieli zawiązane usta, gdy zaś trzeba było przyśpieszyć pochodu, dozorca ich nazywał się zręcznym, gdy kilku powolniejszym nagląc ich, ręce połamał dla przykładu drugich.

Takie to rzeczy opowiada nam historja. Zapewne że te czasy już więcéj nie wrócą, ale niemniéj wyznać trzeba, że dziś machina nie dozwoliłaby na zadanie takiego gwałtu. Działacz, jaki powierzamy dzisiaj robotnikowi jest tak potężny, tak wielki w swych skutkach, że on ma w ręku nietylko produkt nad którym pracuje, ale cały kapitał i często życie pryncypała. Dawniéj bito galernika, żeby

równo robił wiosłem i musiał być posłusznym, ależ sprobujmy dzisiaj oddać kierunek statku parowego rozdrażnionemu i pragnącemu zemsty człowiekowi. Dla kierowania potężną machiną, gdzie najmniejsze roztargnienie sprowadza niebezpieczeństwo, trzeba więcéj jak woli człowieka zmuszonego kijem. Tu służba powinna być pełniona chętnie, bo każde odstąpienie od regulaminu sprowadzić może katastrofę; machina więc dla swego kierowania wymaga nietylko roztropności i przytomności umysłu czuwającéj bez przestanku, ale potrzebuje jeszcze, aby robotnik miał w sobie uczucie obowiązku, tu albowiem odpowiedzialność jego jest wielka. Machiny więc przedstawiają nietylko postęp cywilizacji, skutkiem którego rozmaite produkta otrzymują się coraz łatwiéj i z mniejszym kosztem, ale one utrwaliły jeszcze w świecie moralnym zwierzchnictwo duszy nad ciałem, i dowiodły wyższości sumiennego podjęcia się roboty nad siłą nakazania jéj.

DWIE POTĘGI

Opowiadanie przez Ludwikę Mühlbach.—Przekład z niemieckiego przez K. R...

(Dalszy ciąg).

W zachwyceniu wzniósł ręce do góry i wyszeptał dwa słowa, ale tak cicho, tak tajemniczo, że je chyba sam Pan Bóg mógł usłyszeć. Błogi okrzyk radości wyrwał się z jego piersi na to poznanie samego siebie.

Podwoił kroku i biegł jak na skrzydłach, naprzód przez ponure i puste ulice, których grobową ciszę przerywał tylko monotonny śpiew nocnego stróża, ogłaszającego pierwszą godzinę po północy.

Doszedł już do wrot oddzielających Stare miasto od Nowego.

— Jestem na Nowem mieście! rzekł zatrzymawszy się chwilkę dla odpoczynku. O Boże! mój Boże!... daj żebym odrazu trafił do tego domu, żebym ją wynalazł, na czas pośpieszył z ratunkiem, jeżeli jéj grozi niebezpieczeństwo, lub umarł, jeżeli i ona nie żyje!

I puścił się znowu drogą przed siebie, mijając wszystkie wille na prawo i na lewo, sterczące w oświetleniu księżyca jak grobowce, białym całunem pokryte.

Na żadną nie zwracał uwagi, wszystkie były dla niego obojętne, szukał ostatniéj, do niéj tylko dążył.

Otóż i jest!... Zatrzymał się.

Z bijącem sercem, ze śmiertelną trwogą wpatrywał się w jéj ciemne okna, gdyż i ona stała przed nim głucha, ponura, milcząca!...

— Gdzież teraz znajdę Gudulę?!... Boże! wskaż mi gdzie ona jest!... Muszę ją wynaleść.., dowiem się o niéj, choćby mi przyszło cały świat ze snu zbudzić!

Pociągnął za rączkę od dzwonka i dzwonił tak długo, aż się otworzyło małe okienko u głównego wejścia, zkąd dał się słyszeć piorunujący głos męzki zapytując: co znaczy ten hałas i kto się odważa zakłócać w taki sposób nocny spoczynek?

— Chcę wiedzieć czy jest tu jeszcze Gudula? zawołał Mayer Anzelm.

— Gudula?!... jaka Gudula? zapytał niechętnie odźwierny.

— Gudula, córka Borucha Sznapper, szwaczka hrabiny Tettenborn; przyszła tu wczoraj wieczorem odnosząc robotę i do téj pory nie powróciła do domu, więc zapewne jest jeszcze tutaj, ja po nią przyszłem.

— Głupiś! Była ona tu wprawdzie ale już poszła. Cóż to sobie myślisz, że nasza hrabina zatrzymała na noc żydowską dziewkę, jakby gościa swego? Kto to wie gdzie się ona teraz obraca, może ją dawno przytrzymali nocni stróże i odprowadzili do kwartału?

To mówiąc chciał zamknąć okno, ale silna ręka młodego człowieka, oparła się temu.

— Szczęście wasze, zawołał, trzęsąc się od gniewu, że waszéj twarzy nie widzę, zamknąłbym wam gębę tym kułakiem za wasze słowa. Przyjdę tu jutro rano i biada wam jeżeli jeszcze raz pozwolicie sobie lżyć ją takiemi słowami. Powiedzcie mi lepiéj co się z nią stało, bo inaczéj zacznę krzyczeć, całe miasto zbudzę, wartę sprowadzę żeby dom przetrzęsła. Wiem, że Gudula poszła do was i nie wróciła, musicie za tem wiedzieć gdzie się podziała i co się z nią stało.

— A ty tam jakiś!... Jesteś chyba szalony, że żądasz odemnie takiego objaśnienia! zakrzyczał z gniewem odźwierny. Jeszcze czego niestało, żebym uważał na każdą szwaczkę, która do nas przychodzi po robotę!

Tym razem jednak wiem przypadkiem, że ta dziewczyna, ta żydowska królewna, Gudula, czy jak ją tam nazywają, z pewnością ztąd odeszła. Trafiło się że w tę porę hrabina miała wyjeżdżać i na własne uszy słyszałem, jak schodząc ze schodów, mówiła do niéj łas-

kawie: Moje dziecko, jeżeli lubisz kwiaty to ci pozwalam wejść do ogrodu i zerwać sobie piękny bukiet, będziesz mogła później wyjść ztamtąd przez tylną furtkę, w murze za pawilonem; tamtędy będzie ci nawet bliżéj do domu. Widziałem jak weszła do ogrodu, zkąd zapewne, przez furtkę, musiała pójść swoją drogą. Oto i wszystko co o niéj wiem; a teraz ruszaj sobie precz, bo gdybyś się odważył raz jeszcze tu przyjść, spuszczę psy i wtedy nie wiem jak sobie z niemi dasz radę.

Silna dłoń odepchnęła Mayer Anzelma i z trzaskiem zamknęła okno.

Młodzieniec stał nieprzytomny, sam niewiedząc co ma daléj robić, gdzie szukać straconéj i w jaką stronę się udać?...

Poszła przez ogród... powróciła do domu niezwykłą drogą.... więc i jemu wypadało szukać ją w téj stronie.

Wszystko zależało od tego czy trafi na drogę którą się udała, czy odkryje tę furtkę, przez którą wyszła z ogrodu.

Obiegł willę na około aż do miejsca gdzie się ona łączy z ogrodem. Wysoki mur, uwieńczony żelaznemi kolcami otaczał go do koła; wzdłuż tego muru skradał się Mayer Anzelm.

— O! księżycu... księżycu!... wołał, bądź miłosierny! świeć mi teraz pełnym blaskiem, nie chowaj się za żadną chmurkę i niezaciemniaj mi tego muru!.

I księżyc ulitował się nad nim, oświecał mu każdy kamień, każdy załamek muru, i pozwolił odkryć małą, szarą furtkę, umieszczoną w samym końcu ogrodu.

Jedna myśl, jak błyskawica, przebiegła mu po głowie; przypomniał sobie, że Gudula opowiadała przed ojcem, jakoby w tym ogrodzie był pawilon tak duży, że w nim cała rodzina znalazłaby wygodne pomieszczenie.

A gdyby ona tam była? Gdyby pod jakim bądź pozorem sprowadzono ją do tego pawilonu i gwałtem chciano tam zatrzymać?... Czyż nie był Landgraf z liczby znajomych hrabiny Tettenborn?... A czyż nieznano go powszechnie jako człowieka najgorszych obyczajów; on to zakupił portret Guduli!... Możnaż obojętnie patrzeć na to malowidło i nie pokochać się w oryginale?...

Te i tym podobne rozmyślania wyrwały głuchy jęk z piersi młodego człowieka. Chwycił za klamkę, wstrząsnął ją z całéj siły, sprężyna odskoczyła, drzwiczki się otworzyły... i wszedł do ogrodu....

Przed nim rozciągała się ulica gęsto sadzona, poszedł wzdłuż niéj, oglądając się na wszystkie strony czy nie obaczy pawilonu. Daremnie! nigdzie śladu najmniejszego zabudowania, dokoła same zarośla.

Ale tam, tam pomiędzy krzakami błysło światełko, niby jasna gwiazdka.

— Światło! światło!... Tam musi być ów pawilon, tam jeszcze nie śpią, pali się świeca....

Wąziutka ścieżka prowadząca w zarośla szła przed nim.

Pobiegł ścigając ją w jéj wężykowatym kierunku, aż nareszcie wyszedł na czysty, okrągły plac.

W pośrodku wznosił się pawilon, którego okna były jeszcze oświecone. Zatrzymał się przed tą budową, Mayer Anzelm, jakby oczekując od niéj rozwiązania zagadki, gdzie się podziała Gudula.

— A jeżeli jéj i tam niema?... Jeżeli ta ostatnia nadzieja okaże się płonną, co wtedy?... O Boże! co ja wtedy pocznę?...

Naraz usłyszał dwa sprzeczające się głosy od strony pawilonu. Dłużéj już się nie waha, podszedł jak najostrożniéj, nikt mu nie staje na zawadzie, żaden stróż nie pilnuje téj budowy. Wprawdzie oświecone okna w dolnem piętrze były za wysoko żeby on mógł zajrzeć do wnętrza, lecz po bliższem rozpatrzeniu się, dostrzegł że naprzeciwko środkowego okna wystawał balkon, przy którym rosły dwie grube akacje. Ze zręcznością pantery wdrapał się Mayer Anzelm na jedną z nich, spuścił się potem równie cicho i ostrożnie na balustradę, i wkrótce stanął na balkonie.

Serce biło mu tak gwałtownie, że słyszał formalnie każde jego uderzenie; nogi zaczęły się pod nim uginać, schwycił się więc ręką za gzyms żeby nie upaść.

Dwa głosy wciąż się mięszały w gorącéj sprzeczce, jeden głos był męzki a drugi kobiecy, tak mu dobrze znany. Ach! zanadto często obijał się o jego uszy, ażeby go miał teraz nie poznać....

To głos Guduli!... Więc ona żyje... jest blizko niego!... Więc ją znalazł!... A jeżeli ona bez przymusu zostaje w tym pawilonie?... Jeżeli z dobréj woli udała się za tym mężczyzną, który w téj chwili przemawia do niéj tak słodko?.. Lecz któż on taki?... Co on do niéj mówi?...

Mayer Anzelm pragnie dowiedzieć się koniecznie, gdyby nawet ta świadomość trucizną mu się stała.

Podsunął się ostrożnie pod okno; firanki były spuszczone, lecz pomiędzy szparami obaczył paradny, jasno oświecony pokój, obaczył Gudulę stojącą na środku, z błyszczącemi oczyma, z zarumienionemi policzkami, a przed nią klęczał przystojny młody człowiek, w mundurze haftowanym złotem i zdawał się o cóś ją błagać.

— Nie chcesz mi przebaczyć Gudulo?!... Ciągle jeszcze gniewasz się na mnie? pytał głosem miękkim i dźwięcznym.

— Tak jest! zawołała z oburzeniem: tak, gniewam się i póki mego życia nigdy wam tego nie przebaczę!... Jakim prawem więzicie mnie tutaj, gwałtem mi zabraniacie opuścić

ten pawilon i powrócić do ojca!?... Czy uzyskaliście na to moje zezwolenie, czy ośmieliłam was czemkolwiek do takiego postępowania?....

— Wprawdzie nie uczyniłaś tego, przyznaję to z bólem serca; ależ, czyż mam ci ciągle powtarzać śliczna Gudulo, że cię kocham, że cię ubóstwiam, że umrę jeżeli odrzucisz moją miłość! I nie od dziś dnia kocham cię, miłość moja nie jest kaprysem chwilowym. Kocham cię już od kilku miesięcy, od chwili jakem twój portret kupił!

— Przeklinam rękę, która go malowała!... Nie nawidzę tego portretu!...

— Ja błogosławię tego, który go malował! zawołał młody oficer. Kocham ten portret, który jest tylko słabym odbiciem twoich czarujących wdzięków.

Odkąd się stał moją własnością, wszystkie moje myśli są skierowane ku temu jednemu, żebym mógł i cudowny oryginał nazwać moim. Dla tego kupiłem tę willę i pozwoliłem mieszkać w niéj dobréj mojéj znajoméj Przychodziłaś niby do hrabiny Tettenborn, żeby brać od niéj obstalunek i rozmawiając z nią w sali niewidziałaś jak ja, ukryty w sąsiedniem pokoju, przypatrywałem się tobie przez dziurkę od klucza, zachwycony twoją ujmującą prostotą, oczarowany twemi wdziękami, nie śmiejąc zbliżyć się do ciebie. Lecz wczoraj niemogłem już dłużéj wytrzymać. Postanowiłem usłyszeć głos twój, wypowiedzieć ci wreszcie co mi ciąży na sercu i twoje słowa usłyszeć.

— Więc dobrze! odpowiedziała spokojnie i z taką dumą, jakby istotnie była królową. Powiem wam moje zdanie bez ogródki. Pogardzam wami Mości Panie, przeklinam tę nieszlachetną kobietę co mnie tu ściągnęła. Odemknij pan drzwi i pozwól mi odejść!...

Za oknem na balkonie, klęczał inny młody człowiek; wzniósł on ręce do Nieba i ze łzami w oczach szeptał sam do siebie: bądź błogosławioną za te twoje słowa; całe życie będę ci za nie dziękować!

Znowu się podniósł by daléj słuchać i być gotowym nieść jéj pomoc w razie potrzeby.

Młody człowiek będący w środku też powstał.

— Nie! rzekł, drzwi tych nie otworzę, niepozwolę ci ztąd odejść. Jesteś w mojéj mocy i dopóty cię niepuszczę, póki moja miłość, moje przywiązanie i uniżoność nie zwalczy twego dumnego serca, by mnie równą miłością odpowiedziało.

— Nigdy to nienastąpi! zawołała obrażona tym jego zuchwalstwem. Przed Tobą Boże przysięgam, że nigdy mu niezapomnę podłego podejścia, z jakim mu się udało ściągnąć mnie w to miejsce; nigdy mu nieprzebaczę tego, że się ośmiela więzić mnie tutaj!... nigdy o nim niewspomnę inaczéj jak z największą odrazą i nienawiścią!!!

— Zaklęcia młodéj dziewczyny! rzekł na to oficer wzruszając ramionami z lekceważeniem; szczęściem, że Bóg niesłucha takiéj przysięgi, a co najmniéj twój Bóg, który nie jest bogiem miłości lecz zemsty.

— Poruczam mu moją krzywdę! zawołała Gudula wznosząc ręce do nieba. Ostatni raz wzywam was Książe; odemknijcie drzwi i pozwólcie mi odejść! Od kilku godzin trzymasz pan mnie tutaj. Pozwól mi ztąd odejść, albo jak Bóg w niebie zabiję się i pan będziesz moim mordercą!

— I ciebie ztąd niepuszczę i ty się niezabijesz Gudulo! Teraz gniewasz się na mnie, lecz niewątpię że mnie przebaczysz i natem skończysz że mnie pokochasz. Otoczę ciebie blaskiem i rozkoszą i będziemy....

— Odemknij drzwi! przerwała mu Gudula rozkazująco.

— Nie... nie! wołał zapalając się, zostaniesz ze mną.

— Precz odemnie! wołała odpychając go.

Brzęk szyby przerwał jéj słowa. Przestraszona, obejrzała się i obaczyła wyciągniętą rękę usiłującą odemknąć okno przez rozbitą szybę. Okno się otworzyło i Mayer wskoczył do pokoju.

Gudula krzyknęła z radości i obejmując go za szyję serdecznie pocałowała; lecz zawstydzona takim wybuchem uczucia, chciała zarumieniona odstąpić, gdy ją Mayer Anzelm zatrzymał i do swych piersi przycisnął.

— Co to się znaczy?!... zapytał oficer podchodząc do nich. Któż to się waży, w tak niegodziwy sposób jak złodziéj, włazić do tego mieszkania?

— Ktoś, kto przybył na pomoc Guduli, odpowiedział Mayer Anzelm z podniesioną głową. Ten, który przychodzi oswobodzić ją panie Landgrafie.

— Zuchwalcze! zawołał Langraf podnosząc pięść. Zgniotę ciebie jak... lecz nie... nie, mój kułak zawieleby ci zrobił honoru, wyglądałoby to jakbym tego żyda chciał passować na rycerza. Ukarzę ciebie jakeś zasłużył. Wszedłeś tu jak złodziéj i jako złodzieja każę cię aresztować.

— Pan tego niezrobisz, panie Landgrafie! zawołała Gudula wyzwalając się z objęć Mayer Anzelma i podchodząc do księcia. Nie... pan będziesz miał litość... pan...

— Milcz Gudulo, uspokój się, przerwał jéj Mayer Anzelm z dumą, niepowinnaś zniżać się do prośby, kiedy mamy słuszność za sobą.

— Słuszność!? zaśmiał się książe. Odkiedyż to żyd ma słuszność? Sprobujno żydzie! Odważ się mnie zaskarżyć, a zobaczysz czy wygrasz sprawę z Landgrafem von Hanau. Oddam ciebie jako złodzieja w ręce sprawiedli-

wości, i przysięgam że będziesz ukarany za twoje najście.

— Zniosę tę karę, jeżeli niesprawiedliwość ludzka mnie potępi, odpowiedział spokojnie Mayer Anzelm, lecz was, zaskarżę przed Bogiem i przed waszem własnem sumieniem. Przed całym światem będę głosił moją niewinność i skarżyć się na was jak na zbrodniarza!

— Mimo to będziesz osądzony, śmiał się Landgraf. Lecz któż jesteś nareszcie? Jakie masz prawo do tego dziewczęcia?

— Jest to mój brat, mój ukochany, najdroższy brat, rzekła Gudula. Panie Landgrafie, upewniałeś mnie że mnie kochasz; dobrze, dowiedźże to czynem! Bądź pan wspaniałomyślnym, przebacz memu bratu, puść go i pozwól mi odejść z nim razem. Przemóż swój gniew, a ja chętnie panu przebaczę i będę Boga prosić o szczęście dla pana.

— O nie! nie! wołał boleśnie młody oficer; nie Gudulo, to nad moje siły; kocham cię; na dowód że mówię szczerze, w przytomności twego brata gotów jestem powtórzyć ci: kocham ciebie Gudulo! Przez miłość dla ciebie, zwalczę wszystkie przesądy, aby cię przekonać jak wysoko cenię twoją cnotę i jak cię poważam. Oto moja ręka! Zostań chrześcijanką, a będziesz moją żoną! A chociaż nie będę mógł uznać cię za małżonkę legalną, zawsze jednak będziesz mi żoną ślubną, najdroższą, dam ci moje nazwisko, będziesz dzieliła zemną honory i tytuły mnie przynależne, każdy z moich poddanych będzie musiał ci hołdować, jako żonie swego księcia. Zostań więc chrześcijanką i przyjm moją rękę!

— Zostanę wierną Bogu moich przodków! odrzekła Gudula głosem uroczystym. Jestem żydówką i taką umrę!

— Odrzucasz moją rękę? zapytał książe brwi marszcząc. Więc pragniesz koniecznie zguby twego brata?

— Nie jestem bratem Guduli, rzekł na to Mayer Anzelm niespuszczając oczu przed iskrzącym wzrokiem księcia.

— Nie jesteś jéj bratem?! Więc cóżeś za jeden!?

— Jestem jéj przyjacielem, jéj narzeczonym, jéj przyszłym mężem! Chodź Gudulo! podaj mi rękę, oświadcz księciu że zgadzasz się być moją żoną i że święty związek łączy nas oboje.

Z czarownym uśmiechem podała mu rękę, ale niewyrzekła ani słowa:

— Panie Landgrafie! mówił daléj Mayer Anzelm. Już to poraz drugi spotykamy się na tym świecie. Przed dwunastu laty przyszedłeś pan do naszego miasta żydowskiego, może z nudów przypatrzyć się nędzy naszego narodu. Wówczas to, dumne książęce dziecko wyrzekło do hardego żydziaka: Jeżeli kiedy będziesz bardzo nieszczęśliwym, przybywaj do mnie, do zamku w Hanau, wezwij mojéj pomocy, a ja ci jéj nie odmówię! Książe, jestem teraz bardzo nieszczęśliwym, gdyż pewna osoba chce mi wydrzeć to, co mi jest najdroższym w świecie; błagam was książe, który jesteś powołanym rządzić kiedyś narodem; błagam was o pomoc przeciw młodemu człowiekowi, któren w zaślepieniu swojéj namiętności chce mi tę krzywdę uczynić! Nie odmówisz mi tego książe, wszak prawda? nie dopuścisz aby biednemu żydowi, któremu ludzie wszystkiego odmawiają, któremu nie pozostało nic a nic, prócz szczęścia rodzinnego, ażeby mu i to jeszcze gwałtem wydarto! Jesteś księciem, jesteś możnym; nie dozwolisz mu, ażeby biednemu żydowi haniebnie skradziono jego jedyne dobro!

— Skradziono! zawołał zaperzony Landgraf.

— Nazywam kradzieżą to, jeżeli kto nieprawnie, lub gwałtem wydrze drugiemu jego własność, rzekł młody człowiek spokojnie. Chodź za mną Gudulo, twój ojciec czeka na ciebie. Książe w dziwny sposób oświadczył się o twoją rękę, nie przyjęłaś jego propozycji, powiedziałaś mu że go nie kochasz, a więc nie ma już o czem mówić... Opuśćmy to miejsce! szlachetność i honor nie pozwolą mu nam przeszkadzać. Nie mam żadnéj broni, żadnego oręża, któренby mnie zasłonił od dumy tego człowieka, lecz mam za sobą słuszność i jego własne sumienie. Chodź Gudulo, powróćmy do naszego miasta żydowskiego.

Wziął ją mocno za rękę, poprowadził pewnym i poważnym krokiem do drzwi, odsunął zasuwkę, odemknął i wyszedł z nią razem z pokoju. Przez cały czas stał Landgraf z twarzą odwróconą; lecz kiedy Mayer Anzelm z Gudulą przestępowali próg, podskoczył do drzwi i....zatrzymał się; ręce niewolnie chwyciły za ścianę jakby same chciały go bronić od dalszego kroku; westchnął ciężko, i łzy puściły się strumieniem z jego oczu—łzy gniewu i obrażonéj miłości własnéj.

Ręka w rękę, lecąc prawie, przebiegała tymczasem młoda para przez ogród. Nikt ich niezatrzymał, nikt niewidział, tylko jeden księżyc przyjacielsko pełnym swoim blaskiem wskazując im wązką ścieżkę, a potem małą furtkę przez którą Mayer Anzelm wszedł do ogrodu. Przez cały czas długiéj, samotnéj drogi oboje milczeli i serca ich zanadto były przepełnione, żeby się które odważyło przerwać to uroczyste milczenie. Raz tylko spytała Gudula. Czy ojciec bardzo niespokojny?

— Bardzo, odpowiedział Mayer Anzelm, ale to człowiek nabożny i on się modli.

— Spieszmy więc do niego! zawołała pędząc naprzód.

Już są u kresu swojéj drogi, już weszli we wrota żydowskiego miasta, jeszcze kilka kroków a dojdą do domku, którego oświecone okna zdaleka obaczyli. Tam Boruch Sznapper wyglądał swojéj córki ze śmiertelną trwogą. Na odgłos ich kroków okrzyk radości dał się słyszeć ze środka, drzwi się z trzaskiem otworzyły, a ojciec i córka, ze łzami w oczach, rzucili się sobie w objęcia.

— Ojcze! rzekła po chwili Gudula wskazując na Mayer Anzelma, on wyratował mnie... Jemu podziękuj żeśmy znowu razem.

— Będę modlił się za niego rano i wieczór, odpowiedział Boruch podając mu obie ręce, będę go kochał jak własnego syna.

— Pozwólcie mi być waszym synem Boruch, rzekł Mayer Anzelm. Dajcie mi prawo miłować was jak rodzonego ojca.

— Co przez to rozumiesz, Mayer Anzelm? zapytał Boruch.

— Powiem to wam, ojcze Boruch, a właściwiéj tobie Gudulo. Już cię więcéj nie nazwę siostrą, jak dziś wieczór. Te kilka godzin przerobiły mnie całkiem; odkryły mi one wielką tajemnicę, która od najmłodszych lat moich spoczywała w mem sercu, a przecież sam o niéj nie wiedziałem. Kiedy wybiegłem, w największéj trwodze o ciebie, za miasto, naraz zdało mi się jakby w mem sercu otworzyły się złote podwoje najświętszego przybytku, i ujrzałem ciebie w postaci mego anioła stróża i modliłem się do ciebie jak do bogini nadziei. Wtedy od razu zrozumiałem że cię kocham nad życie, i że ono tyle tylko ma dla mnie wartości, o ilebyś ty go zemną podzielić chciała, Gudulo!... Pytam więc ciebie, czy przyjmujesz moją miłość wraz z mojem sercem, czy chcesz mnie zrobić szczęśliwym, dając mi nawzajem twoje serce i twoją miłość?... Wiele mię kosztowało że nie objawiłem ci mego uczucia na drodze do domu, i że nie prosiłem cię o twoją rękę. Lecz milczałem, gdyż jestem tego przekonania, że ty jak i każda cnotliwa dziewczyna, niepowinna słyszeć oświadczyn młodego mężczyzny inaczéj, jak w przytomności swego ojca. Pytam więc was Boruch, zanim ona odpowie, czy przyjmiecie mnie za zięcia waszego, i czy zgadzacie się oddać mi Gudulę za żonę?

— Z przyjemnością nazwę ciebie moim zięciem, odpowiedział stary żyd uradowany, oddam ci Gudulę z serdecznem błogosławieństwem. Lecz nie... nie... przerwał raptem, to być nie może w żaden sposób, już przecie nie możesz starać się o żadną dziewczynę. Mamże ci przypomnieć Mayer Anzelm że jesteś narzeczonym bogatéj Racheli, która ciebie tak serdecznie kocha? Mnież to przychodzi ostrzedz ciebie że serce twoje nie jest już twoją własnością, i nie masz prawa nikomu go ofiarować! Nie ma dwóch godzin jak przyszedłeś do nas po radę, czy masz się żenić z Rachelą, która cię odrazu robi bogatym; oboje przystaliśmy, ażebyś się z nią ożenił. Toż i teraz nic innego ci odpowiedzieć nie mogę, jak to, żebyś powrócił do córki bogatego Natana i został milionerem.

— Wam się zdaje że nie ma dwóch godzin? odparł Mayer Anzelm wpatrując się w Gudulę, dla mnie, wieczność przedziela te chwile, cały świat uczuć, nowe życie powstało od téj pory we mnie. Aż dotąd byłem ślepy i głuchy!... Czuję iż ciężko zawiniłem przeciw mojéj miłości i memu szczęściu, szukając tych dwóch rzeczy tam, gdzie ich nikt jeszcze nie znalazł; myślałem że przez pieniądz zdobędę to, co tylko uczucie dać może; to jest, spokój i szczęście prawdziwe na téj ziemi. Gudulo! bądź moją żoną, a zrobisz mnie najbogatszym człowiekiem na świecie; będę posiadał to, czego nikt nie kupi za żadne skarby świata, piękną, cnotliwą i kochaną żonę. Powiedz, że mnie kochasz, a zrobisz mnie milionerem, chociaż w oczach ludzi nie będę miał ani szeląga! Serce ukochanéj osoby stokroć więcéj warte od milionów i miléj spocząć na nim, niż na górach usypanych ze złota i drogich kamieni!

Gudula nic na to nie odpowiedziała, odwróciła twarz swoją żeby się ukryć przed niemi, mimo to dostrzegli obydwa jéj wzruszenie i usłyszeli jéj ciche łkania.

— Cóż Gudulo? zapytał ojciec, mogęż teraz powiedzieć Mayer Anzelmowi dla czego chciałaś utopić się w nurtach Menu?

— Ojcze! zawołała nagle się odwracając i skazując obydwom rozpalone policzki po których spadały dwa strumienie łez, jeżeli powiesz pójdę i dotrzymam co ci przysięgłam!

— Trzymaj ją Mayer Anzelm, rzekł stary Boruch wesoło, zagroziłem jéj dzisiejszego wieczoru, że ci wyjawię jéj tajemnicę, wówczas to zaprzysięgła ona, że jeżeli ją zdradzę, pójdzie i utopi się.

— Cóż to za tajemnica? zapytał młodzieniec?

— Nie mam prawa ci to powiedzieć, pytaj się Guduli. Mayer Anzelm objął ją i czule przycisnął do siebie, a wpatrując się mocno w jéj rozpaloną twarzyczkę tak zaczął mówić.

— Słyszałeś jak mówiłem dziś wieczór, że życie moje chcę poświęcić by zostać bogatym; otoż jestem w położeniu człowieka, który stoi nad wielkim, zaklętym skarbem i chciałby go dostać, lecz nie może tego dokazać, nie znając słów zaklęcia; sądzę jednak, że twoja tajemnica będzie tym talizmanem i dopomoże mi do dostania skarbu. Cóż to takiego, co nie pozwalasz powiedzieć twemu ojcu?

Że cię kocham nad życie! odpowiedziała zarzucając swoje ręce na jego szyję i kryjąc twarz swoją na jego piersiach.

— Dzięki ci Gudulo! zawołał Mayer Anzelm. Znalazłem skarb, jestem bogatym!!!.

IV.

Przyjaciel w potrzebie.

Mayer Anzelm znalazłszy swój skarb, cenił go i szanował, i po długich latach pożycia zawsze nazywał Gudulę swoją najpiękniejszą i najlepszą połową. Ona brała udział we wszystkich jego zamysłach i spekulacjach, a jak dawniéj pilnie się krzątała koło gospodarstwa domowego, kiedy byli jeszcze ubodzy, tak teraz, dopomagała mężowi z tąż samą gorliwością w ważniejszych interesach, dążąc z nim do jednego celu. *Stania się bogatym!* Oboje pojmowali że jedynie bogactwo mogło otworzyć dla nich szerszy zakres działania, dać im i ich współwyznawcom swobodę, niezależność, ratunek w biedzie, pociechę w cierpieniu.

Niezmordowany w pracy, przez rozumne wyrachowania i obroty pieniężne, stał się Mayer Anzelm Rothszyld bogatym i powszechnie szanowanym człowiekiem, nawet przez kapitalistów chrześcijan; a gdy wchodził na giełdę otoczony trzema starszemi synami, których wcześnie sposobił do pracy i obznajmiał z interesami banku, wszyscy mu się kłaniali, każdy uważał jakie papiery kupuje bankier Rothszyld, wiedziano bowiem dobrze, że on nigdy złych papierów nie nabędzie i na niepewne spekulacje się nie puści. Każdy kierował się w téj mierze jego zdaniem, znając go nietylko z rozumu ale i ze szlachetności i z prawości; tak, że na danym przez niego słowie, można było polegać jak na opoce.

Tak więc jedynie samemu sobie, swemu geniuszowi, swojéj przenikliwości i niezmordowanéj pracy, winien był Mayer Anzelm to stanowisko zamożnego człowieka jakie w świecie zajmował; to go też najbardziéj cieszyło i z dumą powiadał nieraz swoim synom: sam przez siebie, bez obcéj pomocy, jestem tym kim jestem! Praca była moim wspólnikiem, pilność przyjacielem, oszczędność matką moich czynności! Te trzy dźwignie zrobiły mnie bogatym, i nikomu za to dziękować nie potrzebuję prócz Bogu Wszechmocnemu, któren mnie obdarzył największym bogactwem, bo ukochaną małżonką i dziesięciorgiem zdrowych dziatek! Tak więc moje dzieci, nie ustawajmy w pracy i uczciwych zabiegach, a błogosławieństwo Boże będzie z nami po wszystkie czasy!

Długie lata upływały w ten sposób dla rodziny Rothszyldów, nie zacierając między Mayer Anzelmem a Landgrafem von Hanau poufałego stosunku, jaki między temi dwoma ludźmi w tak dziwny sposób się zawiązał.

Po śmierci swego ojca, roku 1785, zostawszy Kurfirstrem von Hessen, Landgraf ożenił się zgodnie ze swoim stanowiskiem i przeniosł swoją rezydencję z Hanau do Kassel. Wtedy zdało mu się rzeczą konieczną dać niejakie zadość uczynienie Rothszyldowi, za urazę i boleść jaką mu niegdyś sprawił, a tem samem, okazać mu swój szacunek i swoje zaufanie.

Mianował go więc Baronem i jednocześnie nadwornym swoim bankierem.

Poszedł z tym pismem Mayer Anzelm do żony, którą zastał otoczoną dziećmi, a pokazał jéj list książęcy i zapytał, czy nie czuje już żalu do Kurfistra i czy nie ma nic przeciwko temu, ażeby jéj mąż przyjął nadany sobie tytuł, wraz z ofiarowaną mu czynnością?

Rzuciwszy pobieżny wzrok na papier, odpowiedziała Gudula z uśmiechem.

Nietylko że się nie gniewam na Kurfistra, owszem wdzięczną mu jestem że mnie prowadził do ślubu; z jego to bowiem przyczyny został Mayer Anzelm moim ukochanym mężem. Chciałabym tylko wiedzieć co przybędzie z tego bogatemu Rothszyldowi.

Powierzonemi sobie miljonami zarządzał wiernie i oględnie, a Kurfirst, jakkolwiek z natury podejrzliwy, w obec nieposzlakowanéj prawości swego bankiera, zaszczycał go nieograniczonem zaufaniem, widząc, jak w doświadczonem ręku, jego kapitały pomnażały się i rosły niesłychanie.

Podczas kiedy Rothszyld w swoim domu na żydowskiéj ulicy prowadzi śród rodziny, w ciągłéj pracy, szczęśliwe i spokojne życie, a na giełdzie rodzinnego miasta nabiera coraz więcéj powagi i szacunku, za murami Frankfurtu panował wielki niepokój i rozruch; okrzyki wojenne i grzmoty bitew odzywały się po całéj Europie. Imię Napoleona, zwycięzcy z pod Marengo i Austerlitz napełniało strachem niejednego, aż nareszcie trwoga powszechna zbliżyła się do starego, wolnego miasta Frankfurtu. Mieszkańcy, bladzi ze strachu przebiegali ulice, wołając jeden przed drugim: Francuzi idą, już się zbliżają pod dowództwem Mortier'go!... Zabrali już Hanau i Kassel i wszystkie posiadłości Kurfirsta osadzili swem wojskiem, a jego samego wypędzili z kraju!... A teraz zbliżają się do nas, zginie nasze wolne miasto Frankfurt!

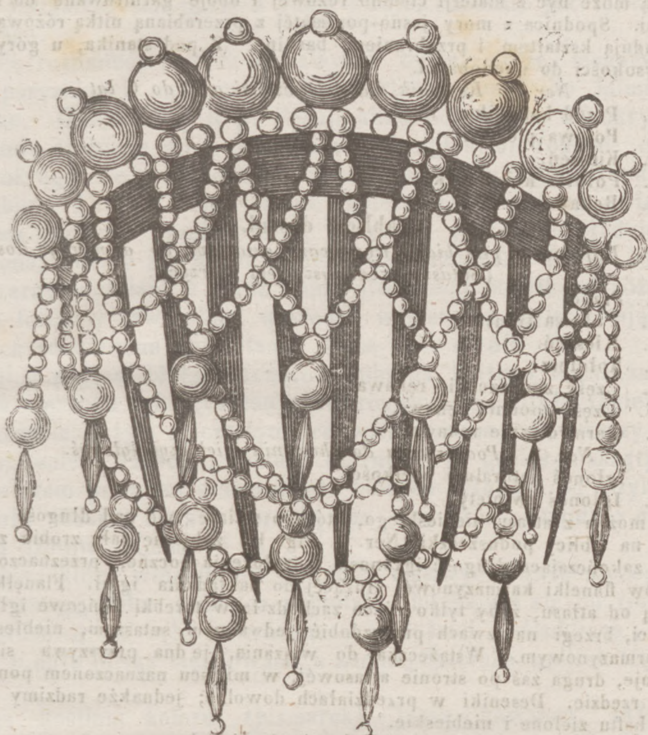
Przepadła nasza swoboda i nasze prawa!!!...

Po dniu tak pełnym trwogi i niepokoju, póżnym wieczorem, kiedy Mayer Anzelm dawno już zamknął swe biuro i powrócił do domu, żeby na łonie rodziny odpocząć po całodziennéj pracy i kłopotach, oznajmiono mu, że na dworze czeka jakiś nieznajomy, i usilnie domaga się, widzieć z nim.

— Słońce już zaszło, rzekł na to niechętnie bankier, dziś już żadnych interesów nie przyjmuję.

(Dokończenie nastąpi).

Dodatek do Zeszytu XV, Kółka Domowego 1867.



Grzebień z pereł.

Do wykonania podobnego grzebienia z pereł, potrzeba prostego rogowego grzebienia z gładką ławeczką, czy główką.

Należy ławeczkę grzebienia do przyzwoitéj wysokości upiłować, aby brzegi były ostre i perły na nich można było osadzić. W pośrodku ławeczki potrzeba przewiercić pewną liczbę małych dziurek w równéj od siebie odległości.

Teraz, na biało powleczonym druciku nawlecz najprzód jedną perłę trzeciéj wielkości (pod Nr. 1 rozumiemy perły największe), potém jednę Nr 4, wsuń drucik napowrót do pierwszéj, aby mniejsza na większéj była osadzona i formowała wierzchołek. Nanizaj znowu perłę Nr 4, na umieszczenie między następującym wierzchołkiem, potém jednę Nr 2, jednę Nr 4, przewlecz nazad przez Nr 2 i nanizaj znowu perłę Nr 4, na rozsadzenie wierzchołków. Utworzywszy podobnie jeszcze jeden wierzchołek, nanizaj dwie perły Nr 4 jako rozsadzenie pereł i zrób pięć wierzchołków z pereł Nr 1, przyczém Nr 4 zawsze najwyższą perłę formuje. Jeszcze dwa wierzchołki z Nr 2, jeden z Nr 3, tak aby cała korona składała się z jedenastu wierzchołków według wzoru wyżéj umieszczonego.

Umocowanie pereł na grzebieniu uskuteczniać czarnym jedwabiem, który pomiędzy dziurki ławeczki i perły poprzewlekaj. Wiszące sznury pereł zrób z Nr. 5, dzwoneczki poniżéj tychże z Nów 3 i 4 i z długich woskowych pereł. Wszystko to można dokładnie wykonać naśladując uważnie wzór.

Tablica kroju.

Ner 1szy Suknia balowa z baskiną.

Fig. 1. Połowa stanika.
Fig. 2. Tył baskiny.

Fig. 3. Przód baskiny.

Oprócz tego, rycina wskazuje po dwóch bokach klapy znacznie przedłużone. Stanik z baskiną może być z materji ciemno różowéj i oboje garnirowane do koła stokrotkami białemi. Spodnica z mory jasno-popielatéj z przerabianą nitką różową. Rękawki w zęby naśladują kształtem i przybraniem baskinę. Z pod stanika, u góry, wychodzi szmizetka wysokości do upodobania.

Ner 2gi Kaftanik dla dziewczynki od 4 do 6 lat.

Fig 1. Przód kaftanika.
Fig. 2. Połowa pleców.
Fig. 3. Kieszeń.
Fig. 4. Połowa kołnierzyka.
Fig. 5. Rękaw.

Tablica deseni.

Ner. 1. Kaftanik z piki białéj wyszywany sutaszem; do domowego noszenia. (Sutasz przed wyszyciem sparzyć).

Fig. 1. Przód.
Fig. 2. Połowa tyłu.
Fig. 3. Kieszeń.
Fig. 4. Kołnierz.
Fig 5. Część zwierzchnia rękawa.
Fig. 6. Część spodnia rękawa.
Fig. 7. Garnirowanie rękawa.

Ner. 2. Poduszeczka do chowania igieł czyli igłonoś.

Fig. 1. Igłonoś naturalnéj wielkości.
Fig 2. Igłonoś zwinięty.

Robić można z atłasu niebieskiego, którego wziąść tyle nad długość i szerokość wyrysowanéj na tablicy poduszeczki (Ner. 2. Fig. 1.) żeby się dały zrobić założenia na dwie torebki zakończające długość igłonosia i założenia boczne, przeznaczone do pokrycia brzegów flanelki karmazynowéj służącéj do nakładania igieł. Flanelka ma być o tyle krótszą od atłasu, żeby tylko nieco zachodziła w torebki końcowe igłonosia. Po uszyciu całości, brzegi na szwach przyozdobić jedwabnym sutaszem, niebieskim, czarnym, lub karmazynowym. Wstążeczka do wiązania, jedna przyszywa się jak rysunek wskazuje, druga zaś po stronie atłasowéj, w miejscu naznaczonem pomiędzy igłami na 2gim rzędzie. Deseniki w przedziałach dowolne; jednakże radzimy kolory jedwabiów do haftu zielone i niebieskie.

Ner. 3. Nakrycie do kielicha.

Jeżeli nakrycie to ma być z aksamitu pąsowego tedy cały deseń złotem się robi; baranek bajorkiem. Jeżeli zaś z mory białéj to użyć trzeba na książkę aksamitu pąsowego, na krzyż, koloru drzewa; na kwiaty, pereł; na liście złoto lub jedwabiów zielonych; na baranka bajorku; na kopytka dżety, na nozdrza i środek uszek, jedwabiu różowego.

Nra. 4 i 5. Kołnierzyk i mankiet płócienny z haftem atłaskowym, sznureczkiem atłaskowym i dzierganiem rzadkiem.

Ner 6. Imię *Elise.*

Ner 7. Imię *Emilie.*

Nra 8 i 9. Cyfry *B. F.* i *E. S.*

Ner 10. Szlaczek atłaskiem lub sznureczkiem atłaskowym haftowany.

Nra 11 i 12. Szlaczki jedwabiami na kolorowe spódniczki, suknie lub kaftany: ściegiem ościowym.

Ner. 13. Figura z modnie ubranym kaftanem i spódnicą.

Ner. 14. Ozdobny szlak do spódnicy białéj, który się robi jak następuje: Ułożyć z białego materjału fałdki lub kontrafałdki; po za fastrygowaniu i zaprasowaniu, wycinać w półkola szerokości 17 centimetrów a wysokości 5 i $^1/_2$. Otacza się te półkola po stronie wygiętéj wszewką wązką, koronkową, objętą dwoma pliskami skośnemi. Daléj, ułożyć półkola stronami prostemi do siebie w ten sposób, aby się zmijały i środkiem przedzielić wszewką koronkową. Stronę wygiętą jednego rzędu łuków przyszyć do spódnicy, drugą ogarnirować falbanką szerokości 4 centimetrów, i tę się karbuje.

O UBIORACH.

Z Paryża dochodzą nas mody i szyderskie z nich żarciki, dzienniki bowiem francuzkie przepełnione są konceptami, którym za temat służą dzisiej-

sze ubiory kobiet. „Balon zmienił się w miotłę," powiada jeden o sukniach płaskich, drugi twierdzi, że przypominają futerał od parasola, kobiety zaś czytają to wszystko, śmieją się a robią swoje, zupełnie jak to niegdyś było z krynolinami.

Ma się rozumieć, że, jak to zwykle bywa, nasze magazyny wiernie naśladują paryzkie, z małemi bardzo zastosowaniami do klimatu i gustu miejscowego. Oglądaliśmy u p. Pękali kilka nowości co do okryć, a takiemi są rotondy zrobione niby chustka z zaokrąglonemi rogami, czyli raczéj doskonale okrągłe koło z kaszmiru, obszyte u brzegu bogatą frendzlą z sieczki i jedwabiu. Aby się niem okryć, należy je złożyć na dwie nierówne połowy, lecz przyznać trzeba, że ta okrywka, jakkolwiek ładnie spada na tył i ramiona, zawsze się nieco otwiera na przodzie. Drugi burnus kwadratowy czarny wełniany z wrabianemi stalowemi perełkami różnego koloru, tworzy foremny czworobok, w środku wycięty na szyję i mający wszystkie 4 końce zakończone chwastami. Cena rub. sr. 30.

Beduina peplum biała kaszmirowa ubrana białemi wstążkami w deseń turecki, ma z przodu zęby (carcau) czworograniaste i z tyłu takież, a z boku po jednym zębie dużym spiczastym, co wziąwszy na rękę tworzy rękawy.

Paltot (soleil) słońce, z materji czarnéj gros grains, naszyty suto dżetami w kształcie promieni słonecznych, których długość od szyi aż do paska. U dołu obszyty 2 razy koronką, po nad którą znajduje się grelotka z drobnych dżetów. Cena 75 rs.

Z sukien które widzieliśmy w tymże magazynie dwie szczególniéj zasługują na uwagę, jedna spódnica popielata dotykająca się do ziemi, ubrana materją szafirową w zęby zwrócone ku dołowi naśladujące wierzchnią spódniczkę, u dołu pliska stębnowana, a nad nią drabinka z plisek tegoż samego koloru.

Druga kostium koloru (bismarck), jasna hawanna, składająca się z dwóch spódniczek; spodnia naszyta pliskami hawanna 4 razy, górna w zęby okrągłe objęta tą samą materją co i pliski, z przodu się rozchodzi roztwierając ubranie tworzące fartuszek przypięty z obu stron guziczkami do górnéj spódniczki. Paltot ubrany tak samo. Muślinowe suknie robią się z wolantami karbowanemi i paltoty ubierane takiemiż wolantami.

Reputowany magazyn mód i strojów damskich pani *Falkenthal* przy ulicy Miodowéj pod filarami przeszedł w tych dniach na własność panny Pelagji *Zaleskiéj* i pani *Brandel*. Pierwsza z nich, zarządzając przez lat kilka magazynem pani *Falkenthal*, znaną już jest publiczności z gustu i eleganckiego oraz starannego wykonywania powierzanych sobie robót. Obecnie nowe właścicielki, po ostatecznem urządzenniu się, magazyn swój będą miały zaopatrzony zawsze w wszystkie nowości mody, co również, jak i podróże za granicą od czasu do czasu przez nie mające się odbywać, przyrzekają zapewne nowéj firmie wziętość jéj poprzedniczki.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Hodowanie i przewożenie raków.

Podany poniżéj sposób jest bardzo łatwy i niewymagający żadnych kosztów; zapewnić może szybkie rozmnażanie się raków tudzież możność

posiadania ich w każdym czasie. Trzy oddzielnie wykopane doły albo sadzawki wykładają się wielkiemi kamieniami, szczeliny tedy pomiędzy niemi utworzą rozmaite nory. Pierwsza sadzawka posłuży do hodowli raków jednorocznych; druga, dla dwuletnich; trzecia, dla trzyletnich. Powiemy jeszcze że doły te są na 3 ćwierci łokcia głębokie i powinny mieć urządzony odpływ w celu odświeżania znajdującéj się tam wody. Raki trzyletnie otrzymują dół największy. Raki karmią 3 razy na dzień, pokarm ich składa się z równéj części siekanéj wołowej wątroby i mąki pszennéj, tudzież z 2/3 otrąb pszennych. To wszystko miesza się razem z pewną ilością wody, a z otrzymanéj tym sposobem mięszaniny robią się gałki, które się gotują, potem jeszcze raz siekają, a siekaninę tę wrzuca się w doły 3 razy na dzień. Raki większe oprócz powyższego pokarmu otrzymnją jeszcze potrawę z gotowanych żabek i skrawków mięsa. Zrzucenie skorupy u raków ma miejsce w końcu Czerwca lub na początku Lipca, wtedy są najsmaczniejsze.

Raki utuczone powyższym sposobem, by je przewieść z jednego miejsca na drugie, należy powkładać w skrzynki opatrzone małemi otworami, które znowu wstawiają się w naczynie napełnione czystą wodą. Można raki jeszcze przechowywać na sucho przez dni 8—10, wtedy umieszcza się je w miejscu chłodnem np. w piwnicy, w koszyku napełnionym trawą i pokrzywami. Ten ostatni sposób przechowywania i przewożenia raków lepszym jest od poprzedniego.

Sposoby uchronienia jajek od zepsucia.

Główną przyczyną stęchlizny lub zepsucia jajek, jest dostające się do ich wnętrza powietrze przez bardzo maleńkie otworki znajdujące się w skorupce. Chcąc zapobiec temu, podamy tu dwa sposoby bardzo łatwe i proste:

1) Wysmarowawszy jajka słoniną lub innym jakimś szmalcem, powietrze tedy nie ma przystępu, i możemy ich po upływie nawet dość długiego czasu spokojni o ich świeżość, używać.

2) Włożyć jajka do wody w któréj rozrobione jest wapno. Po pewnym czasie jajka pokryją się cienką skorupką wapna, która je uchroni od zepsucia.

Nowy sposób solenia masła.

Mięsza się dobrze 2 części soli kuchennéj, 1 część tłuczonego cukru i 1 część saletry. Do 1 funta masła bierze się 2 łuty téj mięszaniny. Przerobiwszy z nią masło dobrze, zostawia się je spokojnie przez 3—4 tygodnie. Tym sposobem przyrządzone lat kilka stojąc nie straci smaku i nie zestarzeje się.

Sposób, aby piwo nie kwaśniało.

Kulę marmurową nawleczoną na cienkim sznurku nicianym, należy przez dziurę w beczce wpuścić aż na dno. Ponieważ kula taka składa się z czystego węglanu wapna, zatem kwas piwa w takim stosunku działa na marmur, w jakim sam powstaje, a przez to działanie zapobiega się rozszerzeniu kwasu, a w ogóle zupełnemu kwaśnieniu piwa.

Tym sposobem kula będzie znacznie kwasem nadpsutą, ale piwo aż do ostatniéj kropli będzie świeże i dobre.

Fig. 1/4 ta N° 1 go.

Fig. 5 ta N° 2 go

Fig. 3 ia N° 6 go.

Fig. 5 a N° 1 go

Fig. 8 a N° 6 go.

Fig. 6 a N° 7

Fig. 7 a N° 9 go.

Fig. 2 ga N° 1 go

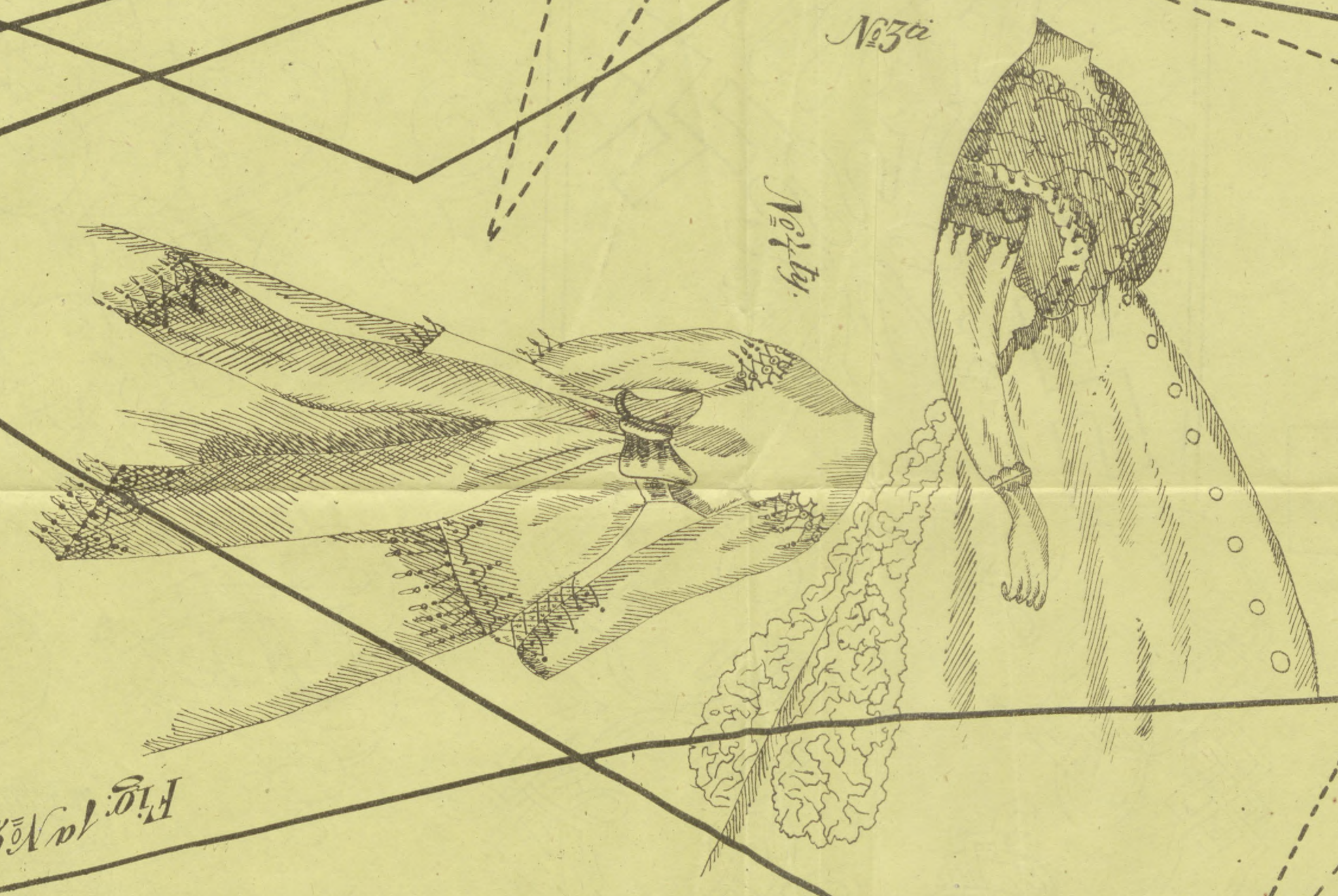


Fig. 1 a N° 2 go.

Zajęcie Kozakina

Załamanie pierwsze końców

Załamanie drugie końców

Załamanie

Fig. 1 a N° 1 go.

Fig. 1/4 a N° 2 go.